Nr. 165. Lwów — Piątek dnia 22 Lipca. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 60 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
Tłustym garmondem po . . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: Pt. | św. Maryi Magd. | ŚŚ 45 Mucz.
Jutro: Sob. | św. Apolinarego | Jewtymyi M.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o g. 4 m. 28
Zachód „ „ 7 „ 40
Długość dnia g. 15 m. 12
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 21 lipca.

Dość starą tezę, że gdy się psują stosunki rosyjsko-niemieckie, wnet poprawiają się polsko-rosyjskie, opracowują teraz po raz setny publicyści z nad Sprewy, a czynią to z powodu zapowiedzianej wojny celnej między Niemcami a Rosyą. Zatarg handlowy między temi państwami powstał w skutek nadmiernej troskliwości rządu berlińskiego o interesa agraryuszy, którzy zarazem są hakatystami. Do nich tedy zwracają się owi publicyści z pytaniem, ażali jest zgodne z logiką i patryotyzmem burzyć jedną ręką to, co się drugą tworzy. Teraźniejsze położenie Niemców w Rosyi już się znacznie pogorszyło, stali się oni tam obywatelami drugiej klasy, a przecież ich polityczna postawa była zawsze wzorowa, chwalona przez carów, nagradzana takiem zaufaniem rządu, że Niemcy zajmowali najwybitniejsze stanowiska wojskowe i cywilne, byli wychowawcami Rosyan w szkołach i w administracyi. Natomiast teraz są od wszystkiego usuwani i nie znajdują w Rosyi żadnych obrońców, nie mówiąc już o tem, że niepodobna im nawet marzyć o tak wpływowym rzeczniku, jakiego w księciu Uchtomskim znaleźli Polacy. „Temu księciu — powiada dr. Schmolzer w *Tägliche Rundschau* — droga zawsze otwarta do ucha i serca cesarskiego, a to wiele znaczy w świętej Rosyi. Książę nie ukrywa swych polskich sympatyi i tak je sam uzasadnia: „Walczę o prawa polskie, lecz źle mnie rozumieją ci, którym się wydaje, jakobym był zwolennikiem odbudowania Polski. To jest utopia, a jam polityk realny. Przedewszystkiem w naszych czasach niedorzecznością jest tworzyć małe państwa, mające dziesięć do piętnastu milionów ludności. Dlatego też uważam, że popełniono błąd, tworząc małe państewka na Bałkanie i jestem przekonany, że one muszą się połączyć w jeden organizm polityczny, w jakąś federacyę. Następnie — wracając znowu do Polski — trzeba skonstatować, że wiekowy rozdział między jej prowincyami wytworzył w nich mnóstwo odrębności, odmiennych warunków bytu ekonomicznego i inne poglądy prawne, a to wszystko razem zatarło już w Polakach trzech dzielnic ich wspólny przed wiekiem charakter narodowy. Możnaby nieledwie powiedzieć, że to są już trzy narody. Z tego powodu nie ma co myśleć o niezależnej Polsce, ani bać się jej powstania, a skoro tak, to co za korzyść i jaka potrzeba gnębić naszych Polaków, nie mówiąc już o tem, że to poprostu niegodne potężnej Rosyi. Narodowi, posiadającemu własną cywilizacyę, bogatą literaturę, sztukę i etyczne ideały, nie wolno zabierać tych skarbów już choćby dlatego, że się nie zabierze, tylko ich rozdrażni i uczyni wrogami. Nie! Ja się nie zapalam do myśli o niepodległej Polsce. Przechowuję mundur mego ojca, przestrzelony polskiemi kulami w r. 1863 cim. Ta relikwia strzeże mnie od zboczenia. Ale jako uczciwy Rosyanin, jako człowiek i obywatel dumny ze swej ojczyzny, pragnę zadowolić polskie uczucia. Trzeba je uszanować i dać im swobodną przestrzeń, a wtedy można żądać od Polaków, można nawet zmusić ich energicznymi środkami, aby się stali wiernymi poddanymi rosyjskiego państwa“ — „Tak oto rozumuje książę Uchtomski — ciągnie w swym artykule dr. Schmolzer, — takie zaś rozumowanie dostatecznie wskazuje, że w myślących sferach rosyjskich dokonywa się gruntowny zwrot w zapatrywaniach na sprawę polską, a wszelkie pogorszenie się stosunków rosyjsko-niemieckich może tylko przyspieszyć dojrzewanie tego zwrotu.“ Artykuł dr. Schmolzera powtarzają różne pisma niemieckie, dowodzące konieczności uchylenia celnej wojny, na którą się zanosi między Niemcami a Rosyą.

Wyjaśniono także wszystkie jej powody, między którymi są dotąd nam nieznane. I tak, chodzi nietylko o to, że Niemcy zmuszają kupców rosyjskich do przeładunków na granicy, ale nadto każą oni drożej płacić za przewóz zboża rosyjskiego do Królewca lub Gdańska, niż się płaci na tych samych kolejach za zboże krajowe. Oprócz zaś tego zakazali wprowadzać do Prus rosyjskiego bydła rzeźnego, nierogaciznę i drób inaczej niż w zamkniętych wagonach, pozwalając tylko w niektórych punktach na dowóz furami, ale w takim razie drób i nierogacizna musi być umieszczona w klatkach. Naprzykład gęsi nie wolno pędzić gościńcem, lecz trzeba wieźć w pudłach tak szczelnych, aby się nie wytrzęsały pióra. Rząd berliński wystosował już do petersburskiego memoryał, w którym dowodzi, że wszystkie te zarządzenia nie zawierają w sobie żadnej szykany, lecz wynikły z obawy chorób, które z Rosyi mogą być zawleczone, a powiększenie taryfy przewozowej na kolejach do Królewca i Gdańska odpowiada zmianom taryfy rosyjskiej od granicy w głąb państwa. Słowem, Niemcy są zupełnie niewinne, ale my z własnego doświadczenia wiemy, że zaraz po zawarciu traktatu handlowego z Austryą, Niemcy poczęły robić niezliczone trudności naszemu eksportowi, przyczyniając w ten sposób nieprzewidziane w traktacie korzyści swemu rolnictwu, a straty naszemu. Tę samą metodę zastosowały one do Rosyi dopiero wtedy, gdy po ustąpieniu panów Marschalla i Böttichera rozpanoszyli się w rządzie berlińskim agraryusze, zrośnięci z hakatystami tak ściśle, że ich rozróżnić nie można. Memoryał berliński nie przekonał rosyjskich ministrów. Rząd petersburski odpowiedział notą bardzo uprzejmą, że jeśli do 1 sierpnia nie będą cofnięte wszystkie zarządzenia szkodliwe dla rosyjskiego handlu, to Rosya [illegible] rządzi odpowiednie środki przeciw handlowi niemieckiemu.

Na wojnie celnej mogą zarobić tylko agraryusze, stracą zaś przemysłowcy, bo zmniejszy się ich eksport; stracą ubożsi ludzie, bo drożeje żywność; straci państwo, bo zatarg celny, zerwanie handlowych stosunków musi ujemnie oddziałać na polityczne stosunki i już oddziaływa. Sądzimy tedy, że choć hakatyści panują w Berlinie, jednak Niemcy wykonają rejteradę.

Po zdobyciu Sant Jago Amerykanie zwrócili swe siły nie przeciw Hawanie, lecz przeciw Portorico. Tłómaczy się to naprzód [illegible]niem pory deszczowej, podczas której operacye na lądzie są trudniejsze, a następnie tem, że Amerykanie uważają już Kubę za zdobytą, a Portorico chcą zagarnąć orężem, aby na mocy wojennego prawa żądać dla siebie tej wyspy. Rozpoczęta ekspedycya przeciw Portorico jest ważniejszą politycznie i strategicznie od zapowiedzianej wyprawy Watsona ku europejskim brzegom Hiszpanii. — Portorico, zwane Szwajcaryą antylską, pod każdym względem niepodobne do Kuby. Pierwsza z tych wysp, doskonale urządzona, niezmiernie obfita w różne kopalnie i zakłady przemysłowe, a zaludniona prawie wyłącznie przez Europejczyków, między którymi dużo energicznych Anglików i pomysłowych Francuzów, podczas gdy Kuba w skutek nieustannych walk rasowych i politycznych doprowadzona do takiej nędzy, że często własnej ludności nie może wyżywić. Portorico, odkryte przez Kolumba podczas jego drugiej podróży w roku 1493-cim, zrazu nie było należycie ocenione przez Hiszpanów. Przez długi czas [illegible] nie wiedzieli co począć z niezmiernymi obszarami odkrytych krajów. Zatknęli tylko sztandar hiszpański na wybrzeżach tej kolonii, a kolonizacyę zostawili Francuzom i Anglikom, ci zaś nie sprowadzali z Afryki murzynów, jak to czynili Hiszpanie i Portugalczycy, lecz ściągali własną ludność, która w długich a zaciętych walkach przetrzebiła autochtonów. Bywały chwile, kiedy Francya i Anglia chciały politycznie opanować tę wyspę i jeżeli do tego nie przyszło, to jeno dlatego, że te państwa rywalizowały ze sobą. Dopiero w roku 1763-cim spostrzegła Hiszpania jakiem złotem jabłkiem jest Portorico i zaprowadziła na niem regularne rządy, które nie mogły być tak egoistyczne, jak w innych koloniach, bo ludność silnie broniła swych praw i tej autonomii, jaka przez wieki sama się utworzyła. Zresztą długie rządy pierwszego namiestnika Miquela de la Torre, człowieka genialnego, ustrzegły tę wyspę od smutnego losu sąsiednich hiszpańskich kolonii. Podczas gdy wszędzie dokoła trwały ciągłe powstania i kolonie jedne po drugich wybijały się z pod panowania hiszpańskiego, na Portorico nigdy nie było żadnego zaburzenia, jakby na wymowny dowód, że sprawiedliwość jest fundamentem państwowego spokoju i siły. Wyspa ta posiada 9144 kilometrów kwadratowych obszaru i 800 tysięcy mieszkańców, między którymi 600 000 czystych Europejczyków, a tylko 200.000 mieszańców. Klimat tamtejszy uważa się za najzdrowszy na świecie, febry żółtej nigdy nie ma, upały dochodzące do 40° Celsiusza panują w dolinach i nad morzem w sierpniu, a w górach wieczna wiosna. Stolica wyspy San Juan de Portorico należy do miast najbogatszych w środkowej Ameryce. Zdobycie tej wyspy jest dla Amerykanów tak samo pożądane, jak utrata jej będzie dla Hiszpanii niepowetowanem nieszczęściem.

Konferencye. — Ruchy czarnogórskie.

Piszą nam z Wiednia, 20 lipca:

Katoliccy uczestnicy wczorajszych konferencyi w pałacu ministeryum spraw wewnętrznych nie ogłosili żadnego komunikatu, lecz zachowują ścisły sekret co do szczegółów narad. Jeżeli mimo tego różne dzienniki ogłaszają dziś biuletyny o wczorajszych konferencyach, polegają one mniej więcej na domysłach. Najostrożniej brzmi biuletyn *Vaterlandu*, który sądzi, że wczoraj skończyła się serya konferencyi, ale pomimo tego przypuszcza możliwość dalszych konferencyi! *Reichswehr*, czerpiąca z źródeł młodoczeskich zapewnia, że wrażenie „zasad“ (programu hr. Thuna) na uczestnikach konferencyi było korzystne i że je uważają jako odpowiednią podstawę dalszych układów. Dziennik ten twierdzi, że serya konferencyi stanowczo się skończyła i że teraz hr. Thun przystąpi do „czynów“. Przeciwnie *Deutsches Volksblatt* zaznacza, że komisya parlamentarna katolickiego stronnictwa ludowego nie złożyła żadnych obowiązujących deklaracyi, lecz podnosząc konieczność zniesienia rozporządzeń językowych, nie omieszkała wypowiedzieć swych zastrzeżeń względem metody, której hr. Thun zamierza użyć przy rozwiązaniu kwestyi językowej. Według *Neue Freie Presse*, hr. Thun przedewszystkiem uwiadomił uczestników wczorajszej konferencyi o rezultatach swych narad z innemi frakcyami parlamentarnemi. Jak zapewnia dziennik wymieniony, rząd nie uważa dalszych rokowań jako wykluczonych, lecz zamierza na ponownych konferencyach z klubem feodalnym tudzież młodoczeskim przedłożyć nieco zmieniony projekt ugodowy. Prezes gabinetu odbywał wczoraj także konferencye z prezesem Izby panów ks. Windischgraetzem, tudzież z baronem Chlumeckim, a tymi dniami wybiera się na audyencyę u Cesarza do Ischlu. Z tych chaotycznych, a w części wręcz sprzecznych doniesień, nie podobna wytworzyć sobie jasnego obrazu chwilowej sytuacyi. Najwymowniej objaśniają położenie polityczne zjawiające się niemal każdego dnia w *Wiener Zeitung* rozporządzenia ministeryalne na mocy § 14 go.

W Czarnogórze prąd antiaustryacki, prowokacyjny, bierze coraz wyraźniej górę. — W święto Piotra i Pawła (11 lipca) przybył do Cetynii zastęp Bośniaków i Hercogowińców, do których syn ks. Mikołaja Mirko przemówił w duchu solidarności narodowej. Szkoda, że *Politische Correspondenz* nie podaje dosłownego tekstu tej przemowy, gdyż dopiero wtedy możnaby osądzić, o ile ona sprzeciwia się legalnemu stanowi rzeczy, według którego Bośnia i Hercogowina należą na teraz do Austro-Węgier? Ale po znanej depeszy ks. Mikołaja z okazyi śmierci Gladstona, po znanym wybryku *Głosu Czarnogórca*, który rząd tutejszy oskarżał o podrabianie depesz londyńskich, i w zestawieniu z inspirowanemi z Cetynii korespondencyami różnych radykalnych dzienników słowiańskich, zwłaszcza *Narodnich Listów*, niezawodnie ta najnowsza demonstracya czarnogórska wydaje się być wymierzoną przeciwko Austro-Węgrom. Rewindykacye czarnogórskie nie mają żadnej historycznej podstawy. Ani Bośnia, ani Hercogowina nigdy nie należały do Czarnogórza, które odwrotnie powstało jako schronisko zbiegów, czyli „uskoków“ z tych niegdyś tureckich prowincyi, Że w tutejszem ministeryum spraw zagranicznych zwracają pewną uwagę na te samozwańcze rewindykacye, nie ulega wątpliwości. Półurzędowy *Fremdenblatt* powtarza powyższe doniesienia z Cetynii. *Lloyd* peszteński wczoraj skonstatował, że *Głos Czarnogórca* ponownie deklamuje o rzekomo przyrzeczonej pomocy Anglii — pomimo uroczystego zaprzeczenia Salisbury'ego. *Reichswehr* doniesienie *Politische Correspondenz*, że koszta pobytu gości bośniackich w Cetynii opędza rząd czarnogórski, zaopatrzyła w zapytanie, z jakich kas? Są to dotąd tylko salwy dziennikarskie. Jednak coraz wyraźniej powstaje wrażenie, że na południowej granicy Hercogowiny przygotowują się ważne wypadki.

Lwowska filia „Creditanstaltu“.

Między rozmaitemi instytucyami finansowemi, operującemi w mieście naszem, znajduje się jedna, która mogłaby dla kraju wiele zrobić, ale niestety nic nie robi. Jest to filia wiedeńskiego Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu. Wiele osób nie wie nawet o jej istnieniu i przechodząc placem Maryackim koło kamienicy Wieczyńskiego, nie domyśla się wcale że na pierwszem piętrze tego domu znajduje się latorośl jednej z najpotężniejszych instytucyi finansowych w całej Europie środkowej, instytucyi, dla której żaden interes nie jest za wielkim, za kosztownym, która zawiera transakcye z państwami na setki milionów. We Lwowie tymczasem wiedzie filia tej wielkiej instytucyi żywot obskurny, tak że kto nie wie, iż ona naprawdę jest córką wiedeńskiej macierzy, mógłby podejrzywać, iż samozwańczo używa firmy „Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu“. Istnieje ona w naszem mieście już prawie od lat czterdziestu, a niegdyś stali na czele jej mężowie znani z gorącego patryotyzmu polskiego, którzy pięknie zapisali się w dziejach nie tylko kraju, ale i całej monarchii, jak n. p. Dr. Floryan Ziemiałkowski. Obecnie od lat prawie trzydziestu zawiaduje nią p. Posner. Nie jest to żaden cudzoziemiec, jakby można sądzić z tego, że instytucya, na której czele stoi, nic dla kraju nie robi, — przeciwnie p. Posner jest synem tego kraju, urodził się w Brodach i w Galicyi prawie całe swe życie spędził. Bilans dotychczasowej działalności lwowskiej filii zakładu kredytowego jest ten, że corocznie odsyłała stąd do centralnego zakładu w Wiedniu spore sumy, uzbierane jako czysty zysk ze swych operacyi. Nie było takiego roku, w którymby ten zysk był mniejszy od 80.000 zł., ale bywały lata dobre, w których i 150.000 zł. powędrowało ze Lwowa do Wiednia. Przyjmując, że przeciętna suma rocznych zysków wynosiła 120.000 zł., okazuje się, że lwowska filia Zakładu kredytowego w ciągu swego istnienia wywiozła z kraju naszego do Wiednia z górą 4 miliony reńskich. Cóż w zamian dała za to krajowi? — Nic, a przynajmniej nic dodatniego. Taką już jednak jest natura jej interesów, w których sobie upodobała i w których całą swoją działalność koncentruje, że niektóre jednostki mogą z tego mieć pożytek, ale kraj i społeczeństwo żadnego.

Filia lwowska Zakładu kredytowego prowadzi niemal wyłącznie interes eskontowy i to bardzo ograniczony. Klientami jej są w pierwszym rzędzie żydowskie towarzystwa zaliczkowe, rozsiane gęsto po kraju, a nie należące do Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych — wielce szkodliwe, bo uprawiające zamaskowaną lichwę. One mają tam zawsze kredyt otwarty, czerpią tam wedle uznania p. Posnera (gdyż instytucyi cenzorów nie zna lwowska filia Zakładu kredytowego) fundusze obrotowe na 5, 5½, 6 lub 6½%, a fruktyfikują je na 8, 9, 10 lub nawet i 12%. Interes z temi stowarzyszeniami, uważanemi powszechnie za plagę Galicyi, stanowi podstawową część działalności lwowskiej filii Zakładu kredytowego. Ponadto eskontuje ona chętnie weksle wszelkiego rodzaju kupców izraelickich, a tylko bardzo mało chrześcijańskich. Stosunek jest taki, że na 100 weksli firm żydowskich przypada zaledwie 5 lub 6 firm chrześcijańskich. Przypisać to można chyba temu, że p. Posner jako izraelita lepiej zna stosunki firm żydowskich i dlatego chętniej im udziela kredytu, niż chrześcijańskim, z których stosunkami bliżej zapoznać się jakoś nie może lub nie chce. Tą jednak systematycznie od lat dziesiątek uprawianą polityką doprowadził do tego, że kupcy chrześcijańscy nie udają się nawet do filii Zakładu kredytowego i że ta instytucya przybrała do pewnego stopnia cechy wyznaniowej instytucyi żydowskiej, w której chrześcijanin nie ma czego szukać. Tę cechę nadaje jej także i to, że personal jej jest przeważnie żydowski, a język niemiecki językiem urzędowym.

Jeżeli zadamy sobie jasno pytanie, co właściwie kraj otrzymuje od filii Zakładu kredytowego w zamian za to, że dostarcza jej corocznie znacznych sum na eksport do Wiednia, to odpowiedź na to pytanie wypaść musi bardzo smutno... Filia ta nie daje, jak już zaznaczyliśmy, krajowi nic po nad to, że zasila fundusz obrotowy lichwiarskich stowarzyszeń zaliczkowych żydowskich, utrudnia handel chrześciański a popiera wyłącznie żydowski, dostarczając mu tanich kapitałów. Tymczasem w interesie kraju leżałoby właśnie, ażeby odciągnąć pewien procent żydów w Galicyi od handlu a zwrócić ich do innych obywatelskich zajęć. To że dziś tak ogromny procent żydów oddaje się wyłącznie handlowi jest objawem wielce niezdrowym, gdyż wytwarza pewną jednostronność w rasie. Byłoby bardzo szkodliwem, gdyby ludzie pewnej rasy uprawiali wyłącznie jeden zawód, n. p. gdyby byli tylko lekarzami lub tylko adwokatami. W ten sposób wytwarza się bowiem kastowość niezmiernie szkodliwa w swych następstwach. U nas niestety właśnie zachodzi ten wypadek: rasa żydowska uprawia niemal wyłącznie handel.

Gdyby ktoś zadał sobie trudu zestawić statystykę handlu w Galicyi, przekonałby się, że na dziesięciu kupców żydowskich przypada zaledwie jeden chrześcijański, a może nawet ten stosunek jest jeszcze znacznie niekorzystniejszy dla ludności chrześcijańskiej. Zmienić to w duchu interesów kraju mogłyby nasze instytucye finansowe, a więc między innemi także filia Zakładu kredytowego. Być może, że p. Posner bezwiednie rozmnaża proletaryat żydowskich handlarzy. Przyzwyczaił się od lat dziesiątek do eskontowania weksli rozmaitych kupców izraelickich, weksle bywają w terminie płacone, ryzyka nie ma prawie żadnego, gdyż zaledwie raz na kilka lat trafia się, że jakaś drobna pożyczona suma przepadnie, więc zdaje się p. Po-

4)

Odwiedziny Polaków w Bośni.

(Ciąg dalszy).

Koloniści w Milewaczu pochodzą z okolic Niska w Galicyi, tylko kilka osób z gubernij rosyjskich. Wszystkich razem jest tu rodzin około 40, z tych tylko 16 otrzymało grunta od rządu, reszta znajduje się w wielkiej nędzy i wyczekuje swej cząstki, jeśli pozwolenie przyjdzie ze Sarajewa. Na usilne prośby, abym ich ratował i wstawił się za nimi u władz, poleciłem zrobić spis rodzin, które w koloniach polskich jeszcze nie otrzymały gruntu, skąd pochodzą, ile osób każda rodzina liczy, ile mają kapitału itd., i gotowy dokument, stwierdzony przez miejscową władzę ze sobą zabrałem. W Sarajewie wręczyłem go p. radcy Mikuli, szefowi departamentu bośniackich kolonij, a zarazem po udzieleniu odpowiednich informacyj, otrzymałem zapewnienie, że sprawę rozdziału gruntów przyspieszy, o ile to od niego będzie zależało.

Podobnie jak w Celinowaczu, tak i w Milewaczu, chociaż okolica jest górzysta, grunta są dobre, lecz osadnicy jeszcze wiele mają do karczowania lasów i zrębów. W sąsiedztwie dużo jest gruntów muzułmańskich. Właściciele pragną sprzedać swe posiadłości, nie chcą być w sąsiedztwie chrześcijan i to cudzoziemców. Bardzo dobre ziemie są na sprzedaż po 15 do 20 złr. za morgę. Również wiele jest jeszcze gruntów rządowych, przeważnie lasów, które także mają być rozdane lub sprzedane kolonistom. Przedsiębiorczy rolnik nawet z małym stosunkowo kapitałem mógłby piękny folwark zakupić, a zarazem znacznie podnieść polską osadę. Jeżeli wszyscy koloniści, którzy się spodziewają gruntów, przychylną otrzymają ze Sarajewa odpowiedź, Milewacz ma przyszłość przed sobą. Przemysłowiec, handlarz drobnym towarem, rzemieślnik, ma otwarte pole do zarobku, chociażby tylko między swoimi.

Z Milewacza czyli Milewackiej Kozary do czwartej i ostatniej kolonii polskiej Mahowliani i Bakinci drogę miałem bardzo piękną. Dzień sobotni (12 marca br.) przyniósł ze sobą wiosenną pogodą. Promienie słońca niewidzialną swą siłą wydobywały z pod ziemi storczyki, pierwiosnki, fiołki i inne najrozmaitsze kwiaty, których bogactwem mało który kraj jak Bośnia może się poszczycić. Lasy i gaje ożywiły się wesołym śpiewem drobnego ptactwa, a z bagnisk i stawków dolatywało żegotanie żab jako zapowiedź ze snu budzącej się wiosny. Jechałem konno w towarzystwie kilku mężczyzn, którzy częścią z dewocyi, częścią dla odbycia spowiedzi, ze mną spieszyli do Mahowliani. Droga była jeszcze turecka tj. mniej odpowiednia do kołowej jazdy. Co chwila wypadało zsiadać z konia, gdy się wspinał na spadzistą górę lub przepływał rzekę, wijącą się wśród pól i łąk. Podróż była bardzo romantyczna, a od dzieciństwa przyzwyczajonemu do konnej jazdy bynajmniej nie przykra; lecz w każdym razie komunikacyę w tych okolicach wygodną żadną miarą nazwać nie można. Opieka rządu okupacyjnego do tych stron widocznie jeszcze nie dotarła.

W polu widzieliśmy roboty już rozpoczęte: u muzułmanów zasadzają się one głównie na ogrodzeniu płotem całego pola, jakie ma uprawiać, ażeby bydło, trzoda i konie, plądrujące po wszystkich stronach, zasiewów wzrastających nie zniszczyły. Ile w tym czasie zniszczy Turek drzew, ile wytnie w lesie leszczyny lub młodych grabów, nie łatwo da się obliczyć. Tyle pracy i szkody w lesie wyrządza na czas krótki, bo niebawem zostawi tę ziemię ugorem, a inny kawałek będzie ogradzał. Dotychczas prawie wszyscy kmiecie czyli wieśniacy, posiadający grunta, nie są absolutnymi właścicielami ziemi, lecz tylko dzierżawcami wieczystymi. Trzecią część zbioru, najczęściej *in natura*, kmet musi oddawać begowi, który również nie ma ani piędzi ziemi wyłącznie swojej, lecz wszystkie grunta są jego i dzierżawnych kmetów. Nie jest więc tutaj tak łatwo wyzwolić chłopów, jak było u nas przed zniesieniem pańszczyzny.

Po dwugodzinnej jeździe wśród okolicy o nizkiej kulturze dostaliśmy się do włoskiej kolonii Mahowliani. Postęp widoczny na każdym kroku. Najpierw drogi bardzo dobrze zrobione, choć wśród okolicy pagórkowatej; mieszkania w znacznej części piętrowe, murowane, ubranie mieszkańców tutejszych dostatnie, nawet podobno za bogate w stosunku do dochodów. Gdy tu Włosi przed 16 laty przybyli, zastali dżungle podobne, jakie widzieliśmy w Celinowaczu lub w Milewackiej Kozarze, obecnie cała okolica zamieniła się w starannie uprawne pola i plantacye winnej latorośli, jedyne w całej Bośni. Wina udają się dobrze, lecz są słabe gatunki. Jednak pomimo konkurencyi win węgierskich i dalmatyńskich, znacznie lepszych od miejscowego, zbyt jego jest wielki. Na tutejsze stosunki kolonia włoska ma się bardzo dobrze materyalnie i duchowo; ma swojego proboszcza, kościółek, włoską szkołę dla dzieci, utrzymywaną przez zakonnice zgromadzenia „Najświętszej krwi Zbawiciela“. Jeszcze przed zachodem słońca przybyłem do mieszkania proboszcza ks. Gabla, rodem z Tyrolu. Świątobliwy staruszek z upragnieniem wyczekiwał mego przybycia, gdyż nie mógł sobie dać rady ze spowiadaniem Polaków, a jeszcze mniej z Rusinami, którzy przyjęli schizmę serbskiej cerkwi. Pomimo nagłącej pracy nie pozwolił mi wieczorem na rozpoczęcie misyi, gdyż chciał, abym nieco wypoczął. Natomiast nazajutrz ułożyliśmy piękne nabożeństwo dla Polaków, a także dla Włochów, aby i oni coś skorzystali z obecności obcego kapłana, skoro w ich kościele miało się odbywać polskie nabożeństwo.

Niedziela 13 marca była pełna miłych przygód. Od świtu Polacy spowiadali się, podczas mszy świętej pobożne pieśni śpiewali, w końcu usłyszeli kazanie w swoim ojczystym języku. Po polskiem było włoskie nabożeństwo: ks. proboszcz Gabl miał sumę, ja powiedziałem kazanie. Tak jak na polskiem nabożeństwie wielu było Włochów, tak również na włoskie przyszli też Polacy. Uważałem, że obydwie narodowości dobrze ze sobą żyją i świadczą sobie sąsiedzkie przysługi. Po kazaniu naturalnie, jak zwykle bywa, każdy chciał się przed nowym księdzem spowiadać; toż zajęty byłem Włochami aż do południa. W tem dają mi znać, że przyszła deputacya Rusinów, których poleciłem przez knezia zaprosić do siebie na poufną rozmowę. Zjawiło się sześciu chłopów, a na ich czele w baranicy Wasyl Tymczow, około 40 lat. Wywiązała się bardzo interesująca rozmowa. Hardy przewodnik apostatów począł uzasadniać, dlaczego przyjęli „serbską wiarę“: 1) Ponieważ ona dawniejsza jest i prawdziwsza od łacińskiej, mianowicie co do pochodzenia Ducha św.; 2) Kalendarz juliański jest starszy od gregoryańskiego, więc lepszy; 3) Nabożeństwo odprawia się podobnie jak w ruskiej cerkwi po słowiańsku; 4) Święta swoje mogą w tym czasie obchodzić, co w Galicyi.

Było rzeczą widoczną, że pop serbski napompował Wasyla kontrowersyami, jakie zachodzą między wschodnią schizmą a Kościołem katolickim, poznałem również, że nie jakaś złość, lecz ignorancya wytworzyła w nich upór i pewna obawa, aby nie utracili tego, co uważali za lepsze. To też z całym spokojem i największą miłością począłem do nich przemawiać, wykazując ich błędne mniemanie. Kilka faktów historycznych, dotyczących schizmy Focyusza, jakie im przytoczyłem, i wytłómaczenie konieczności zmiany kalendarza juliańskiego, wskutek lepszego poznania systemu słonecznego, zachwiało upornych Rusinów. Błędnem okiem spoglądali na siebie, nie wiedząc, co mają odpowiedzieć. Dalszych nabojów w obronie schizmy serbskiej widocznie nie mieli w zapasie. Na ich wiele mówiące milczenie dodałem, że przechodząc do cerkwi serbskiej, przestali być tymi samymi Rusinami, co byli dawniej, że zapierają się wiary swoich ojców i dziadów, a ich krewni i znajomi w Galicyi nie mogą ich odtąd uważać za swych braci, lecz za odstępców wyklętych ze św. cerkwi ruskiej.

Na to Wasyl z innymi zawołał: „Myśmy byli Rusinami i Rusinami zostaniemy, a nie damy się spolszczyć“.

Łatwo było im wytłumaczyć, że tu nie o spolszczenie chodzi, lecz o zachowanie wiary św. Chodzenie do łacińskiego kościoła, spowiadanie się przed łacińskimi księżami, a nawet przyjmowanie komunii św. pod jedną postacią jest im dozwolone, gdzie niema ruskich księży.

(Dokończenie nastąpi).

snerowi, że tak być powinno, że to jest normalny rozwój interesu handlowego. Dziwi nas atoli to, dlaczego ludzie, z którymi p. Posner żyje w przyjaźni i do których zdania wielką wagę przykłada, nie zwrócą jego uwagi na to, że taki proceder, gdzieindziej może zupełnie na miejscu, w Galicyi w obec wyjątkowych stosunków, jakie tu panują, jest szkodliwy, i że patryotycznym obowiązkiem jest akcyę instytucyi finansowych skierować na inne tory. Dziwi nas to tembardziej, że do grona przyjaciół p. Posnera należą mężowie, mający ważny głos w sprawach krajowych, a hołdujący t. z. jaskrawemu patryotyzmowi.

Oni wpływem swoim mogliby przecież skłonić p. Posnera do tego, by instytucyę sobie podległą prowadził więcej w duchu obywatelskim i oparł ją na szerszych podstawach. Przyszłoby mu to tem łatwiej, że Zakład kredytowy dla handlu i przemysłu w innych prowincyach monarchii rozwija ogromnie pożyteczną działalność na polu przemysłowem, w górnictwie, cukrownictwie, piwowarstwie, interesuje się każdym nowym wynalazkiem, zakłada liczne fabryki i prowadzi handel eksportowy na kolosalne rozmiary.

Niestety tylko w Galicyi pracuje ten potężny bank w kierunku wręcz odmiennym i nietylko sam nie rozwija przemysłu i zdrowego handlu, lecz właśnie usuwa nawet poniekąd możność rozwijania go. Dostarczając na zawołanie funduszu obrotowego żydowskim stowarzyszeniom finansowym, sprawia to, że te towarzystwa, które, w razie gdyby filia Zakładu kredytowego nie uważała ich za swą stałą klientelę, operowałyby może swemi własnemi funduszami w dziedzinie przemysłowej, uprawiają lichwę, bo to rzecz najwygodniejsza.

Tak samo i z handlem. Gdyby p. Posner chętniej użyczał kredytu fabrykom i warsztatom, gdyby sam inicyował zakładanie nowych przedsiębiorstw przemysłowych, wyrządziłby tem krajowi i społeczeństwu wielką przysługę i sprawiłby może, że przecież pewna część żydów usunęłaby się od handlu, w którym panuje już zatrważające przeludnienie. Wszystko to przyszłoby p. Posnerowi niezmiernie łatwo. Dziś filia lwowska otrzymuje z centralnego zakładu w Wiedniu dla swych operacyi kapitał dosyć tani, bo na 4%, w sumie niewielkiej, bo około 4 milionów rocznie. Przekonani jednak jesteśmy o tem, że gdyby p. Posner zażądał, otrzymałby z Wiednia i 20 milionów rocznie i na tańszy procent, np. na 3½%, tak jak otrzymują kapitały inne filie Zakładu kredytowego. Mając do dyspozycyi takie fundusze, możnaby rozwinąć ogromnie dobroczynną działalność, możnaby stwarzać nowe gałęzie produkcyi i znakomicie z czasem podnieść dobrobyt w kraju. Bezwątpienia dla kierownika filii lwowskiej byłaby to praca o wiele żmudniejsza od teraźniejszej, ale pozwolimy sobie zwrócić uwagę p. Posnera na to, a może i przyjaciele jego to samo uczynią, że to, co jest obecnie, nie może być kresem żądań, jakie kraj ma prawo stawiać do swych obywateli, i że jako Polak, syn tej ziemi, stojąc na tak wybitnym posterunku, a mogąc dla kraju wiele dobrego zrobić, powinien także chcieć to uczynić.

Co i o czem piszą.

Dziennik dla wszystkich, wychodzący w Warszawie, rozpoczął szereg artykułów pod nader sensacyjnym tytułem: „Dlaczego nie lubimy żydów?“, wziął jednak tę sprawę nieco powierzchownie. Powiada bowiem np., że nie lubimy ich dlatego, iż są brudni, niechlujni, ubrani odmiennie, że mówią wstrętnym dla ucha naszego żargonem, etc. To nas nie przekonywa i sądzimy, że nie dlatego nie lubimy żydów. Zapewne, że ich niechlujstwo, ich strój wschodni, ich żargon, nie są to rzeczy ponętne, ale gdyby one tylko stanowiły powód niechęci, jaką społeczeństwo nasze żywi do żydów, to w takim razie żyd, noszący się po europejsku, w czystej koszuli, bez aksamitek pod paznogciami, mówiący literackim językiem polskim, byłby osobą powszechnie lubianą. Tymczasem tak nie jest. Widzimy, że w Niemczech nie lubią żydów, pomimo, że oni mówią tam tylko po niemiecku, i innego języka nie mają i pomimo, że noszą się zupełnie po europejsku, tak, że w wielkich miastach często nie można odróżnić żyda od chrześcijanina. We Francyi to samo. Nadto we Francyi jest żydów bardzo niewiele, stanowią oni zaledwie 1 procent mieszkańców, a tymczasem są tak samo nienawidzeni, bodaj nawet czy nie więcej, niż w Galicyi, gdzie tworzą szóstą część ludności. Więc to rozumowanie *Dziennika dla wszystkich* nie bardzo nam trafia do przekonania, ale ponieważ artykuły tego pisma, podpisane przez p. Adolfa Starkmanna, a więc także izraelitę, zrobiły wiele hałasu w Warszawie, a i niemało rumoru w Galicyi, przeto pozwalamy sobie przytoczyć jeden z nich ustęp, najbardziej charakterystyczny i malujący dążność autora. Oto co pisze:

Tłumiona poniewierką społeczeństwa wrodzona arogancya u żyda-konserwatysty, występuje w całej okazałości u żyda postępowego. Pyszałkowatość, nonszalancya w najbardziej nieprzyzwoitym stopniu, arogancya, lekceważenie wszystkich i wszystkiego, co mu nie jest pokrewnem, są znamiennemi cechami żyda, który krótko się nosi, który skończył szkoły, który się „obtarł“ pomiędzy ludźmi, który na pierwsze wejrzenie przedstawia się wcale „niczego“. Ale prosimy przypatrzeć się temu panu bliżej! Przypatrzmy mu się, a odejdzie nam ochota od wchodzenia z nim w stosunek towarzyski. Jeżeli jest pospolitym marnym kantorzystą, mającym jedyną kwalifikacyę na uciekiniera do Ameryki, zdaje mu się, że po za kantorem jego pryncypała świat się kończy, a po za jego kolegami... nie ma ludzi! Spogląda więc na ulicznych przechodniów z miną protektora, który łaskawie zezwala na wszystko, obrzuca jednak wszystkich spojrzeniem tak pogardliwem i aroganckiem, jakby co najmniej był posłannikiem gromowładnego Jowisza; przechodniów najczęściej potrąca bez żenady, kobietom impertynencko zagląda w oczy, ćwicząc się w zręczności rynsztokowego Don Juana, nie kłania się najczęściej pierwszy, tylko na ukłon czeka. Do zakładów publicznych, do teatrów i na koncerty wchodzi z szumem i z trzaskiem, żeby być lepiej dostrzeżonym; rozsiada się, jakby miał pod sobą hamak, wysuwa się stale na naczelne miejsce a zawsze z rękami w kieszeniach. Chciałby mówić o wszystkiem, bo zdaje mu się, że jest uniwersalnym, pokpiwa z tych, którzy mu koregują błąd, a człowiek, który „nie robi“ w handlu albo w kantorze, jest dla niego zerem. Żydzi postępowi doskonale rozumieją swoją podrzędną rolę wśród innych społeczeństw, ale nikłe ich aspiracye do celów wyższych,
ją im wyzwolić się z tego powszednie
niania się za materyalną korzyścią;
obrachowują, ale nie mogą obliczyć s
gdyby się choć odrobinę zmienili, po

mnie kurs swojej wartości moralnej i społecznej. Pod tym względem stali się oni absolutnymi abnegatami i dlatego żydzi pomiędzy sobą zdzierają zupełnie maski towarzyskiego uobyczajenia, czem często znowu starają się popisywać, o ile mają w swoich progach gościa-chrześcianina. Żyd wobec żyda jest takim, jakim uczyniło go wychowanie: nie liczy się zupełnie z zasadami dobrego tonu, nie stara się o przyzwoite ułożenie, nie miarkuje gestów. Rozumuje wtedy, że takt w stosunku towarzyskim z żydem nie obowiązuje bynajmniej, przecież oni się znają doskonale i jeden o drugim nic złego nie powie; wszyscy są jednakowi!... Tymczasem często z tego powodu zdarza mi się słyszeć narzekania żydów na żydów!...

— Wiesz pan co, on ma prawdziwie żydowskie maniery!...

— Doprawdy z tym żydem wstyd chodzić!...

— Już nigdy do tych żydów nie pójdę!

Tak często mówią żydzi... sami o sobie! Jest w tem doskonała samokrytyka, bo żydzi wybornie znają samych siebie, ale każdy z nich jest zarazem przekonany, że owe wszelkie wady i braki ma właśnie... ten drugi!

Znam wielu żydów z najlepszym taktem i wychowaniem, którzy unikają towarzyskich stosunków z domami żydowskimi, bo ich razi zachowanie się ojców, matek, synów i t. d... I żydzi, powtarzam, wiedzą o tem doskonale, bo ile razy znajdą się w domu chrześciańskim, albo chrześcian przyjmują u siebie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniają i sposób mowy i układ figury... Ciężko im nieraz w takiem zewnętrznem przebraniu, ale czują zarazem, że pewien spokój, powaga, takt, znalezienie się w kropce, zachowanie koniecznych form towarzyskich, jest nieodzownym i elementarnym obowiązkiem człowieka, pragnącego, aby nań łaskawie patrzano, aby o nim źle nie mówiono, aby się z nim sympatyzowało... Gdyby żydzi chcieli ciągle o tem pamiętać, niewątpliwie chętnieby z nimi sympatyzowano i znacznie mniejby ich lekceważono...

* * *

Znanym manifestem *Diła* i tymi ośmiu środkami, które mają uratować naród ruski od polonizacyi zajmuje się *N. Reforma* i wypowiada następujące, bardzo trafne uwagi:

Przyznajemy każdej narodowości prawo bronienia swej egzystencyi, — nie myślimy też do Rusinów stosować praw wyjątkowych. Zwrócić jednakże musimy uwagę *Diła*, że we wschodniej Galicyi, oprócz przeważającej liczby Rusinów, mieszka także poważna, a na wielu punktach skonsolidowana mniejszość polska. Praojcowie tych Polaków także bronili Rusi krwią własną i nie mogą być, w nagrodę za to, skazani na wyzucie z praw swojego języka w szkole i życiu publicznem. Jeżeli *Diło* uważa za rzecz korzystną, aby Rusini w Galicyi zachodniej wytwarzali jakąś odrębną sferę towarzyską, używając, pod klątwą „złamania przysięgi“, tylko ruskiego języka, — to nie myślimy spierać się o skuteczność i dobór tego środka. To rzecz gustu i smaku. My, Polacy, dążymy przeciwnie do tego, aby młodsze pokolenie nasze znało już język ruski, bo nie uważamy za rzecz dla siebie wskazaną, wykluczać się dobrowolnie z bezpośredniego zetknięcia się z Rusinami. My jesteśmy spokojni o naszą młodzież: ona się nie zruszczy przez to, że będzie znała wasz język. Jeżeli wy natomiast boicie się języka polskiego do tego stopnia, że zakazujecie używać go nawet w stosunkach towarzyskich w Galicyi zachodniej: jest to, z waszej strony dowodem wielkiej nieufności do tych rodaków waszych, którzy wśród nas mieszkają. Przeciw kontrolowaniu urzędów administracyjnych nie mamy zamiaru występować. Starostwa nie są od robienia polityki; to należy do społeczeństwa, w równej mierze do polskiego, jak do ruskiego. To nasze prawo obywatelskie, za które bolesne płacimy podatki. Między Polakami a Rusinami zapanowałyby o wiele lepsze stosunki, gdyby starostowie ograniczyli swą gorliwość do porządnej gospodarki i sprawiedliwego wymiaru praw politycznych, a nie mięszali się do polityki. Ale z drugiej strony taki „trybunał narodowy“, jak go *Diło* w letniej kanikule wymyśliło, byłby jedyną w swoim rodzaju instytucyą, która wyrodziłaby się bezwątpienia w rodzaj inkwizycyi, badającej sumienie narodowe nie bez uprzedzenia. Od czegóż jest prasa ruska, od czego liczne stowarzyszenia, jeżeli nie od zajmowania się krzywdą ruską? Cóż one będą robić, gdy powstanie specyalna instytucya inkwizycyjna od nadużyć starościńskich, obwieszczająca je *urbi et orbi* w czterech językach.

* * *

Pisaliśmy już o tem, że według dokonanych obliczeń przez komisye szacunkowe podatku osobisto-dochodowego, Galicya zapłaci za rok 1898, tytułem tego podatku mniej więcej 1,250.000 zł. Kraj nasz, stanowiący więc pod względem obszaru 26% całego państwa, a pod względem ludności 27½%, stanowi pod względem majątku zaledwie 5% Przedlitawii, czyli, że jest przeszło 4 razy uboższy niż być powinien. Innemi słowy, że każdy z nas, gdyby bogactwo było w Galicyi równomiernie na prowincye podzielone, miałby przeszło 4 razy więcej dochodu rocznego, niż ma dzisiaj. Owóż dlaczego tak się dzieje? Mnóstwo jest oczywiście przyczyn tego smutnego stanu, ale między innymi także i nasza bezradność. Głównym zaś powodem tej bezradności jest, zdaniem *Słowa polskiego*, brak instytucyi finansowej, któraby sprawą podniesienia naszego przemysłu na prawdę zająć się chciała i umiała. *Słowo polskie* pisze:

Klasycznym przykładem tego braku między innemi jest Bank krajowy dla Galicyi, który nie dlatego został przez wielkiego marszałka krajowego ś. p. Mikołaja Zyblikiewicza powołany do życia, a przez kraj milionem wyposażony, żeby robił interesa hipoteczne i wekslowe, co każdy inny bank potrafi, lecz na to, żeby był duchem opiekuńczym młodego przemysłu krajowego, żeby był jego orędownikiem i doradzcą, jego informatorem i propagatorem, a nie jego zawadą lub w najlepszym razie jego piątem kołem u wozu. Na ten temat mówi się u nas w zamkniętych kołach wiele, lecz nie ma się nigdy odwagi powiedzieć tego publicznie — a istotnie już czas i czas ostatni, żeby opinia publiczna tą sprawa się zajęła, żeby Sejm zrozumiał, że, wykonywując kontrolę nad Bankiem krajowym, nie oddaje krajowi usług, śpiewając hymny pochwalne sprawozdaniom Dyrekcyi, lecz odda krajowi usługę i spełni swój obowiązek, jeżeli braki tej krajowej instytucyi wskaże, złe wytknie i sprawę nie tylko tam zresztą, lecz wszędzie, gdzie potrzeba, na dobrą drogę sprowadzi.

Rada miasta Lwowa.

Lwów, 21 lipca.

Na posiedzeniu wczorajszem radny dr. Głąbiński przedstawił myśl memoryału do rządu, ewentualnie petycyi do parlamentu, jeśli on się zbierze, w sprawie zamierzonego podwyższenia podatku rządowego od piwa i wódki. Podatek ten — jak wiadomo — przyniesie rządowi jeszcze połowę dotychczasowych opłat od piwa i wódki. Miasto Lwów będzie płaciło go 200.000 złr. więcej, niż dotąd. Praktyka poucza, że wzrost podatków od jakiegoś produktu obniża jego konsumcyę. Niezawodnie też nastąpi obniżenie konsumcyi piwa i wódki, a wówczas finanse gminy, i tak wcale nie świetne, jeszcze bardziej się zmniejszą, gdyż ubędzie część gminnych podatków konsumcyjnych. Wskutek tego magistrat uchwalił wnieść do rządu i do parlamentu memoryał z żądaniem, by o ile możności projektowanych podatków nie zaprowadzał, a jeśli to jest nieuniknionem, natenczas niechaj zapewni gminie odpowiednią dotacyę za uszczerbek w dochodach gminy.

Rozwinęła się na ten temat ożywiona dyskusya. Pan Piepes-Poratyński był za żądaniem niezaprowadzania podatku i zapewnił, że w Kole polskiem w Wiedniu nie ma tendencyi popierania projektu tego podatku.

Dr. Stroynowski wykazywał utrudnienie położenie browarników m. Lwowa. Nie doskwiera im tyle podatek rządowy, ile podatek gminny od piwa, który we Lwowie jest trzy razy tak wysoki, jak np. w Wiedniu.

P. Markiewicz domagał się, by w memoryale wyrażono życzenie opodatkowania wina, którego śruba podatkowa prawie wcale nie dotyka.

Uchwalono wreszcie przyjąć projekt memoryału podług wniosku magistratu.

Towarzystwu wzajemnej pomocy urzędników gminy m. Lwowa uchwalono udzielić bezprocentowej pożyczki 2 000 złr., płatnej w 10 miesięcznych ratach, począwszy od 1 sierpnia 1898

W sprawie obsadzenia dwóch nowych aptek oświadczył dr. Stroynowski, iż magistrat ogłosi niebawem na nie konkurs.

Załatwiono jeszcze szereg spraw drobnej wagi, a o godzinie ½10 posiedzenie zamknięto. Następne dzisiaj.

Burne Jones.

W przeciągu dwu lat ostatnich straciła sztuka angielska trzech największych swoich przedstawicieli: lorda Leightona, sir Johna Millais i Wiliama Morrisa. W ostatnich tygodniach poszedł za nimi, równy im pod względem czysto malarskim, ale przewyższający ich poezyą treści i wybitnym indywidualizmem, Burne Jones. Dla tej nawskróś poetycznej swojej indywidualności, wywalczył on sobie miejsce w pierwszych szeregach armii artystycznej całego świata. A dla czego, bo ta indywidualność była tak obszerną, że zdołała w końcu wzruszyć wszystkich, nawet tych, u których poezya zmuszona jest ukrywać się głęboko pod warstwą codzienności życiowej. Gdy się zaś weźmie na uwagę działalność artystyczną Burne Jonesa i gatunek jego malarstwa, to przyznać trzeba, że takim językiem, jakim on mówi, najtrudniej przemówić do duszy szerokich tłumów.

Aby lepiej zrozumieć tę twórczość, należy przypatrzeć się, jakiemi drogami kroczyła ona przez życie i na jakich zatrzymywała się etapach. Najważniejszy i decydujący wpływ na wyobrażenia Burne Jonesa, wywarł Ruskin. Teoretyk ten w dziedzinie sztuki był jakby żywym wyrazem reakcyi przeciwko prawidłom realizmu, wyrodzonego potem w naturalizm, którego ideałem stało się z czasem niewolnicze naśladowanie natury. Nie gardząc zdobyczami technicznemi, wskazywał on na to, że nie tylko zmienna, chwilowa powierzchnia, jest ostatecznym celem sztuki. Trzeba w niej wyszukać owo coś, co ma zdolność przybierania się w coraz to nowe formy, a nie zmienia się samo. Co więcej, Ruskin powiedział nawet, że to coś jest ważniejszem, decydującem w doborze form zewnętrznych, którymi artysta ma prawo i obowiązek tak manipulować, tak je zmieniać, żeby dusza i poezya rzeczy wyszła jak najwyraźniej.

Ta droga, prowadząca wprost do wyzwolenia indywidualności, przypadła Burne Jonesowi tak dalece do smaku, że Ruskin stał się dla niego wyrocznią na polu malarstwa. Ideałem malarza stał się zaś stary mistrz włoski Boticelli, który i dla Ruskina był wcieleniem jego teoryi. I nic dziwnego. Wszak raz tak pojąwszy malarstwo, otwiera się sobie wrota do powiedzenia tego, co się ma i może powiedzieć. Równocześnie z upadnięciem kajdan ślepego naśladownictwa, stwarza się sobie w ten sposób cały skarb środków formalnych, które w takim razie stają się posłusznem narzędziem, ułatwiającem wypowiadanie się. Ponieważ zaś Burne Jones był poetą nawskróś refleksyjnym, więc też i dzieła jego, wyszłe z takiej teoryi musiały nosić na sobie piętno refleksyi. Tem też różni się on od Boticellego. Podczas bowiem, gdy mistrz włoski naginał formy zewnętrzne do swych wzruszeń ascetycznych i wyrazów mniszej obawy przed światem, Burne Jones, operował nimi, aby dać wyraz wyrafinowanemu wnikaniu w istotę wszechświata. Wspólność obydwu polega na oderwaniu się od życia i usamotnieniu, które pozwalało im obydwom patrzeć na świat, jak gdyby przez jakieś okienko umieszczone po za nim. Rezultatem tej wspólności stało się, że ani jeden ani drugi nie malowali scenek przygodnych, gotowych pejzaży itd., ale jeden odtwarzał swoje wizye dantejskie lub bohaterów starej wiary kościelnej, drugi zaś swoje marzenia o „pieśni miłosnej“, o „miłości pielgrzyma“, o „Perseuszu“, o „miłości wśród ruin“ itd. Ani jeden ani drugi nie troszczyli się o to, czy jakiś kwiatek, zwierzę lub człowiek jest zupełnem odbiciem jakiegoś żywego oryginału. Dla nich rozmiary przedmiotów i ich stosunek były tylko środkiem pośredniczącym między ich wyobraźnią a widzem.

Tu też w tej technicznej stronie ich twórczości zaznaczyła się ta strona ich indywidualności, na którą składa się otoczenie. Włoski mnich z 14 wieku miał koloryt jasny, pełny, gorący tak samo jak pełnem i gorącem było życie 14 wieku we Włoszech. Burne Jones, syn schyłku 19 stulecia ma koloryt posępny, pozbawiony różnic gwałtownych i zdecydowanych. Kolorytowi Burne Jonesa zarzucano nawet wielokrotnie jednostajność i monotonię, a bezwzględniejsi nazywali go wypływem maniery. Tak jednak nie było. Teorya Ruskina, jako taka, która daje wolne pole falowaniom uczuć na wskróś subjektywnych, zawiera w sobie niebezpieczeństwo. Cóż bowiem łatwiejszego jak wyzyskać ją w celu pokrycia braków technicznych, albo stworzenia sobie zasady, żeby malować naiwnie za każdą cenę, choćby się wcale tak naiwnie nie czuło. Przytem teorya Ruskina zaszczepiona na gruncie indywidualności ciasnej, stworzyć musi bezwarunkowo manierę. Ten lub ów bowiem artysta mający mało do powiedzenia i widzący tylko małą jakąś cząsteczkę świata, musi się rychło wyczerpać, stać się jednostronnym, słowem powtarzać się w swoich utworach.

Z Burne Jonesem było inaczej. Jego do wyznawania i ucieleśniania teoryi Ruskina pchnęło poczucie głębokiej poezyi, której skarby zachowane miał w duszy. Całe życie współczesne obrócone na zewnątrz, nie odpowiadało tej duszy przesiąkniętej poezyą dumań filozoficznych nad najgłębszą treścią samego życia. Artysta odwrócił się więc od powierzchni i zapatrzony we własną głębię, pieścił w samotności jej obrazy. Gdy więc w teoryi Ruskina znalazł filozoficzne ujęcie całości tej swojej głębi i jej potwierdzenie, wydało mu się nagle, że usłyszał w tem jakby jakiś głos pokrewny, który go wzywał do wydobycia tych skarbów na zewnątrz. Idąc za wskazówkami wielkiego teoretyka spojrzał w przeszłość i znalazł w niej cały szereg pokrewnych sobie samotników, Giotta, Fra Angelica i Boticellego. Ukochał ich więc jak krewny i przekonawszy się, że byli przed nim już tacy, którzy mieli odwagę w utworach swych dawać odmienną od współczesności duszę własną, rzucił się Burne Jones do uplastyczniania swego wnętrza.

Kiedy wystawił pierwsze swoje obrazy wyśmiano go. W wysmukłych postaciach i słodkich twarzyczkach bohaterów i bohaterek obrazów Burne Jonesa, dopatrywano nieudolności, złej woli lub ślepego naśladownictwa mistrzów z doby przedrafaelicznej. Smętny, niezdecydowany koloryt pejzażu, w którym bujać się zdają wiotkie, zlewające się z nim figury, sprawił, że zarzucono mu zupełny brak poczucia kolorystycznego. Wszystkiemu zaś winno było to, że obrazy jego były czemś nowem, co rzucało rękawicę bezdusznej rutynie, panującej w malarstwie współczesnem. Naginanie rysunku i kolorytu, które estetykom współczesnym wydawały się alfą i omegą sztuki malarskiej, do celów nie bardzo dla nich zrozumiałych, bo głębszych, było w ich oczach zbrodnią nie do darowania. Nie rozumiejąc treści, nie mogli oni rozumieć całej tej pracy duchowej artysty, który tu, dla lepszego wyrazu, dał np. dłuższe ręce jakiejś postaci, a dla wywołania harmonijnego efektu kolorystycznego w pejzażu przytłumił ten lub ów koloryt zbyt wyrywający się naprzód.

Niepowodzenie więc było pierwszą nagrodą wysiłków Burne Jonesa. Ale artysta, który ani na sekundę nie poczuwał się do nieszczerości i wiedział, że nad każdym szczegółem głęboko się namyślił, zanim nadał mu tę lub ową formę, nie dał się tem zwrócić z obranej drogi. Zbyt kochał poezyę, zbyt głęboko ją czuł i rozumiał trudności, jakie się nastręczały przy jej wydobywaniu, aby się miał dać zniechęcić do pracy, którą zaledwie rozpoczął. Sam wiedział dobrze, że w kompozycyi i opracowaniu szczegółów miał jeszcze niesłychanie wiele do zrobienia i to, co uczynił, dalekiem było jeszcze od tego idealnego obrazu, który miał w duszy. Jakże więc mógł się wyrzekać tej radości, która napawa człowieka, zwyciężającego przeszkody, i to w imię tak wzniosłej sprawy, jak prawdziwa i szczera poezya. Dlaczego zresztą miałby się jej wyrzekać? Nieprzychylne przyjęcie pierwszych obrazów, nie było dlań bynajmniej dowodem, że dzieła jego szerokim kołom widzów nigdy się nie będą podobać. „Jeżeli jeszcze nie przemówiłem do nich, jeżeli dotąd nie zbudziłem drzemiącej na dnie ich dusz poezyi, to dlatego, że nie przemówiłem jeszcze dość wyraźnie“ — musiał sobie powiedzieć artysta. Wprawdzie żaden z owych Zoilów nie uczynił mu istotnego zarzutu, t. j. takiego, w którym wykazaną byłaby niezgoda treści z formą, ale tłómaczyła ich zaskorupiałość w tem, co było modą i dogmatem współczesnym.

Choć więc niepowodzenie musiało zaboleć w pierwszej chwili, wrodzona refleksya nie pozwoliła mu zwątpić i kazała iść dalej. Osamotnił się tylko bardziej i w samotności tworzył dalsze dzieła. Praktyka potwierdziła, że nie schodząc z drogi, Burne Jones miał słuszność. Obrazy jego zaczęły coraz to więcej przemawiać do społeczeństwa angielskiego. Jego mistyczna tęsknota do innego poetycznego świata znalazła oddźwięk nawet w najbardziej prozaicznych duszach, bo i w nich tkwi choć w uśpieniu pragnienie szczęścia ideału. Doszło z czasem do tego, że za obrazy Burne Jonesa zaczęto płacić tysiącami funtów. Wreszcie przyszła chwila zupełnego tryumfu. Zbiorową wystawą dzieł swoich w Grosvener Gallery podbił on nawet najniechętniejszych. Klasyczna akademia przyjęła go do swego grona, a rząd dał mu godność baroneta. Zwyciężył, — po długiej walce i stopniowo, ale zwyciężył. Oprócz rozgłosu i majątku, o który nie dbał, bo był bogatym z domu, zdobył uznanie. Przemówił do ludzi i został przez nich zrozumianym. A choć nie znalazł młodzieży, która chciałaby iść jego śladami, nie stworzył szkoły, to i lepiej dla niego i dla sztuki. Dla niego, bo, nie posiadając jego treści inni wyjałowiliby to, co on pozostawił. Dla sztuki zaś, bo daliby jej chyba szereg powtórzeń nieszczerych. To co on stworzył, to wyszło właśnie z indywidualności. Inna indywidualność mogłaby się nagiąć do naśladowania jego treści, nie posiadając własnej. Posiadająca zaś treść własną musi być w swych utworach odmienną od niego.

Dzięki temu w symfonii artystycznej całego świata, stanowić będą jego dzieła jeden osobny ustęp, który będzie zawsze przemawiał do wszystkich czasów i ludzi, swoją odrębną melancholijną a wiotką poezyą. Nie straci on nigdy swojego uroku, nieśmiertelnego jak dusza, z której wyszedł, chociaż jego doczesną skorupę rozniosą wichry wieków po świecie.

Kronika naukowa.

Wiadomo, że dzięki pracom naszych rodaków, mianowicie prof. Wróblewskiego i Olszewskiego, potrafimy dziś skraplać powietrze atmosferyczne; technika posunęła się nawet tak daleko, że dziś możemy fabrykować ten oryginalny płyn na dużą stosunkowo skalę, bo po 100 — 120 litrów dziennie.

Płyn ten wbrew temu, coby należało przypuszczać, pozwala się przechowywać dość długo w otwartych naczyniach; szklanka, napełniona powietrzem płynnem może przez dwie godziny prawie stać w pokoju, zanim się opróżni. Płyn wre ledwie dostrzegalnie, wytwarzając ciężką i z trudnością wychodzącą z naczynia parę, w zetknięciu z którą ręka kostnieje w mgnieniu oka.

Strzeżmy się jednak dotknąć niebieskawego płynu; parzy on bowiem, jak rozpalone żelazo i sprawia ciężko gojące się rany, chociaż temperatura jego wynosi — 191° Celsiusza.

Wrące pod zwykłem ciśnieniem powietrze jest mętnawe od kryształków kwasu węglowego i lodu, w niem zawieszonych. Jeśli weźmiemy z naczynia na łyżeczkę metalową (nb. z długą rączką) cokolwiek płynu, to wrzenie owe staje się tak gwałtowne, iż pojedyńcze kropelki rozlatują się na wszystkie strony.

Wlane do zamkniętej rury żelaznej powietrze zamienia się niebawem w gaz i wywiera na jej części tak potężne ciśnienie, że rura pęka z hukiem. Nic dziwnego, gdyż płynne powietrze zajmuje objętość siedemset pięćdziesiąt razy mniejszą od gazowego powietrza.

W razie, jeżeli użyliśmy do czerpania łyżki żelaznej, to nie uderzajmy nią mocno, ani nie upuszczajmy na ziemię, gdyż rozbije się jak szklana. Żelazo bowiem i elastyczny w zwykłej temperaturze kauczuk, stają się niesłychanie kruchemi ciałami przy — stu kilkudziesięciu stopniach zimna. Przeciwnie platyna i miedź zachowują swą giętkość w tych warunkach, a szkło zyskuje ją nawet w dość znacznym stopniu.

Dziwne zjawisko zaobserwowano z kością słoniową, oziębioną do temperatury ciekłego powietrza; oto materyał ten, wystawiony następnie przez kilka sekund na działanie łukowej lampy elektrycznej, świeci czyli fosforyzuje w ciemności jasnozieloną barwą.

W zetknięciu z oryginalnym płynem, o którym mowa, wszystkie inne płyny ścinają się natychmiast; alkohol najmocniejszy nawet ulega temu losowi. Można więc dowolnie otrzymywać wódkę w pałeczkach, w postaci głowy cukru, kulek, etc.

Strumień pary wodnej, skierowany do szklanki z ciekłem powietrzem, wywołuje gwałtowne ulatnianie się jego, para przy tem skrapla się i marznie szybko, zamieniając się w kawałki lodu, które pływają po powierzchni.

Jeszcze ciekawszem jest doświadczenie z powietrzem, parującem w próżni. Połączmy epruwetkę, hermetycznie zamkniętą i napełnioną ciekłem powietrzem z jakąś pompką i wytwarzajmy próżnię; skoro manometer wskaże ciśnienie pół atmosfery, temperatura wewnątrz epruwetki zaczyna gwałtownie spadać, gdyż powietrze daleko prędzej ulatnia się w próżni. To nadzwyczajne oziębienie sprawia, że szkło okrywa się naprzód skorupą lodu, powstającą od wilgoci atmosferycznej, następnie zaś z kryształków lodu zaczynają ściekać wolno kropelki jakiejś cieczy, które w zetknięciu z podłogą syczą i znikają, nie pozostawiając po sobie śladu.

Cóż to jest ten dziwny płyn, nie zwilżający drzewa? Nic innego, jak skroplone powietrze. Tak samo mieszanina gazów, składająca atmosferę ziemną, może się zamienić w ciecz, przy odpowiedniej temperaturze, nie będąc wcale poddawaną ciśnieniu.

P. Tripler, amerykanin, który zbudował bardzo dowcipny i mały aparacik do skraplania powietrza, robił nadzwyczaj ciekawe doświadczenia nad wytrzymałością rtęci w stanie stałym. W papierową formę wlewa się żywe srebro; z dwóch zaś końców w płynny metal pogrąża się mocne haki żelazne.

Jeżeli teraz umieścimy rtęć w naczyniu z płynnem powietrzem, to niebawem zamarznie; wyjąwszy blok metalowy, zawieszamy go na jednym haku, do drugiego zaś przytwierdza się duży ciężar żelazny i sztabę zamarzniętego merkuryuszu, potrzebuje około 20 minut, zanim się stopi; wtedy olbrzymi ciężar odpada z łoskotem na ziemię.

Z pomiędzy wszystkich doświadczeń najbardziej zajmującem jest bezwątpienia następujące: Nalewamy skroplonego powietrza do imbryka i stawiamy go na żarzące węgle; powietrze zaczyna wrzeć i w stanie gazowym tryska wysoko na parę stóp strumieniem przez dzióbek — widok o jakim zapewne nie marzył wynalazca maszyny parowej Watt. Podczas gdy się to odbywa, wlewamy do imbryka szklankę wody, która w jednej prawie chwili zamienia się w lód. Zdejmijmy imbryk, a ujrzymy, że dno jego okryte jest warstwą śniegu; to kwas węglowy pochodzący ze spalenia się węgla, lecz nie gazowy, ale zmarznięty w zetknięciu z zimnem naczyniem; — co dziwniejsza, do owego „śniegu“ przylgnęły rozżarzone kawałki węgli.

Jak wiadomo, powietrze składa się głównie z tlenu i azotu; ale azot jest lotniejszy od tlenu, w skutek tego płynne powietrze w miarę parowania, zawiera coraz więcej tlenu. Dzięki tej okoliczności, możemy wykonać kilka ciekawych doświadczeń. Oto n. p. gąbka, napojona ciekłym tlenem, wybucha gwałtownie, jeśli zbliżymy do niej żarzące ciało. Skręcona i zmoczona w skroplonem powietrzu gazeta płonie szybko, choć nie tak nagle, jak wtedy, gdybyśmy powietrze zastąpili czystym tlenem. Tak samo zachowuje się pałeczka węglowa, używana do lamp elektrycznych, jeśli ją rozżarzyć na końcu i zanurzyć w płynnym tlenie; rozsiewane światło razi swym blaskiem wzrok; powstający przytem kwas węglowy ścina się natychmiast i będąc stosunkowo cięższym, opada w stanie kryształków na dno naczynia.

Płynny tlen znalazł już praktyczne zastosowanie do fabrykacyi — materyału wybuchowego fin de siècle. Oto mocna rura stalowa otwarta z obu końców; wprowadzamy do niej kłaczek waty, napojonej płynnym tlenem i zapalonej przy pomocy lontu z bezpiecznej odległości.

Rozlega się ogłuszający huk, zbliżamy się i znajdujemy rurę, poszarpaną w szmaty.

Watę można zastąpić węglem tłuczonym lub jakimkolwiek bądź innym materyałem palnym i otrzymana tą drogą substancya wybuchowa, nie ustępuje co do potęgi niszczącej dynamitowi, ma zaś zaletę bardzo ważną, mianowicie daje się przygotować w chwili użycia i po niejakim czasie, jeśli jej nie zapalimy, przestaje być niebezpieczną, albowiem skroplony tlen ulatnia się w parę godzin po założeniu miny.

Trudno doprawdy przewidzieć dzisiaj, jaki przewrót w rozmaitych gałęziach techniki sprowadzi skroplone powietrze; kiedy będziemy mogli otrzymywać je łatwo w wielkich ilościach, zbliżający się wiek XX potrafi bezwątpienia wyciągnąć wiele pożytków z tego potężnego a nowego czynnika.

Skoro już mówimy o powietrzu, wypada nadmienić o nowem odkryciu w tej dziedzinie. W r. 1894 lord Kelvin do współki z profesorem Ramsayem odnaleźli w atmosferze nieznany przedtem pierwiastek argon. Zdawało się, że ten gaz zamknie listę elementów, wchodzących w skład powietrza, lecz nie, bo właśnie dowiadujemy się, że wyżej wymieniony Ramsay, badając z p. Travers płynne powietrze, odkrył w niem nowy zupełnie pierwiastek, który dotąd uszedł uwagi fizyków z tego powodu, że znajduje się w nadzwyczajnie drobnym stosunku w atmosferze. Gaz ten

nazwany *kryptonem*, t. j. ukrytym, odznacza się charakterystycznem widmem w spektroskopie; jest on cięższym od ozonu (odmiany chemicznej tlenu) a mniej lotny, aniżeli azot, tlen i argon.

Trudno jeszcze powiedzieć, jakie miejsce zajmie krypton w tablicy pierwiastków; zdaje się jednak, że wypadnie postawić go obok helium. Co do własności fizycznych i chemicznych kryptonu, to nie zdołano jeszcze ich poznać. Sposób otrzymania go jest bardzo prosty; skroplone powietrze poddaje się w naczyniu powolnemu parowaniu; najprzód ulatnia się azot, potem tlen, argon, a w końcu pozostaje cokolwiek cieczy, która właśnie jest kryptonem, najmniej lotną z pomiędzy składowych części powietrza. Otwiera się może nowe pole poszukiwań dla chemików.

Z izby sądowej.

Nowy Sącz, 19 lipca.

(*Atak na karczmę*).

Wczoraj w tutejszym sądzie odbyła się pierwsza rozprawa o rozruchy antiżydowskie w powiecie nowosądeckim. Na początek stawiono przed sądem 16-letniego wyrostka, Nikodema Łukasika, dotąd niekaranego. Odpowiadał on za to, że dnia 19 czerwca w Załubińcu pod Nowym Sączem, gdy przed karczmą Mojżesza Engländera zgromadził się tłum chłopaków w liczbie 30—40 i wyprawiał tam wrzaski, Łukasik nazbierawszy w kieszenie kamieni, rzucał je do wnętrza karczmy, wskutek czego potłukł próżne i pełne flaszki i uderzył kamieniem w plecy parobka z karczmy. Łukasik wypierał się winy, utrzymując, że gdy rzucano kamieniami w karczmę, on znajdował się wewnątrz. Parobek, ugodzony kamieniem w plecy, wyjaśnił ten fakt; Łukasik był bowiem w istocie w karczmie, ale dopiero wtedy, gdy już tam kamienie nie padały. Ogółem znalezione w karczmie kilkanaście kamieni. Trybunał w uwzględnieniu młodego wieku i dobrego dotąd prowadzenia się oskarżonego, skazał go na trzy tygodnie ciężkiego więzienia. Prokurator państwa wniósł odwołanie z powodu niskiego wymiaru kary.

* * *

Kraków, 20 lipca.

(*Nasz „oświecony" lud*).

Wymownym przykładem, jak szkodliwem jest dla ciemnego ludu naszego czytanie gazet, pisanych nie dla ludu, była rozprawa, odbyta przed tutejszym zwykłym trybunałem przeciw wyrobnikowi z Bodzowa, Jędrzejowi Mrowcowi. W jednym z dzienników znalazł on wzmiankę, że lud w Galicyi zachodniej opowiada sobie o nadejściu pozwolenia od Cesarza na bicie żydów i niszczenie żydowskich karczem. Mrowec wziął to na seryo i opowiedział wójtowi z Bodzowa, że w gazecie wydrukowano, iż Cesarz pozwolił przez czternaście dni bić żydów. Że takie pozwolenie nadejść musiało, dowód najlepszy, że na gazecie był „znaczek urzędowy" (stempel dziennikarski), niewątpliwie więc wiadomość ta ma charakter urzędowy. Na to pan wójt, zamiast pouczyć Mrowca, że jest w błędzie, oskarżył go o obrazę majestatu. Żandarmerya wniosła doniesienie do sądu i oto dzisiaj Mrowec, oskarżony o obrazę majestatu, otrzymał za występek z § 305 u. k. karę czternastodniowego aresztu. Oskarżony bronił się na rozprawie, że nie wierzył, aby takie pozwolenie wydanem być mogło, ale bałamuciła go owa „pieczątka urzędowa" na gazecie.

Kronika.

Lwów 21 lipca.

Dar Pań. Wachlarz, przedstawiający bal w namiestnictwie, malowany przez prof. Rejchana, a ofiarowany ks. Sanguszkowej przez panie lwowskie, został wystawiony na kilka dni w naszym salonie wystawy obrazów.

Pomnik Klemensa Junoszy, wzniesiony na grobie jego w Lublinie, odsłonięty zostanie dnia 23 listopada, jako w rocznicę śmierci zmarłego pisarza.

Samobójstwo bankiera Pawła Schellenberga. Prokurator p. Seredowski zwrócił się do lwowskiej izby adwokackiej z żądaniem wytoczenia śledztwa adwokatowi, którego śp. Paweł Schellenberg uczynił odpowiedzialnym za katastrofę, a która stała się powodem jego samobójstwa. W pierwszym rzędzie przesłuchanym będzie jako świadek p. Oskar Kreyser. Przesłuchanie nastąpi w sądzie karnym.

Stowarzyszenie Polaków w Budapeszcie urządza dnia 23 b. m. obchód mickiewiczowski. Rano o 10 odbędzie się solenna msza w kościele OO. Franciszkanów, wieczorem o 8ej „uroczysty wieczór" w lokalu stowarzyszenia; program oprócz przemówień polskich obejmuje także jedną mowę w języku węgierskim, którą wygłosi dr. Jul. Barański. Resztę programu zapełniają produkcye muzyczne i deklamacye. Po wieczorku uczestnicy zasiędą do wspólnej kolacyi. W uroczystości tej wezmą udział także Węgrzy.

Zwinięcie urzędu pocztowego. Dyrekcya poczt zawiadamia nas dzisiaj, że znowu zwija jeden z urzędów pocztowych, mianowicie urząd w Kamienicy w pow. limanowskim. Owóż od jakiegoś czasu powtarza się dość często, że dyrekcya poczt zmuszona jest zwijać urzędy pocztowe świeżo otworzone. Zapewne dzieje się to wskutek tego, iż władze pocztowe uległy za prędko zbyt natarczywym naleganiom stron prywatnych i nie zbadawszy należycie, czy w danej miejscowości urząd pocztowy zdoła się utrzymać, otworzyły taki urząd, a po paru miesiącach musiały go zamknąć. Lepiej być mniej pochopnym w otwieraniu nowych urzędów pocztowych, aniżeli widzieć się zmuszonym otwarte zamykać.

Stacyę bezpłatną dla badania wścieklizny, pierwszą tego rodzaju w Niemczech, utworzono w Berlinie przy tamtejszym zakładzie dla chorych na choroby zakaźne.

Budowa gmachu dla żeńskiego Seminaryum nauczycielskiego na ulicy Sakramentek rozpocznie się w przyszły poniedziałek. Koszt budowy obliczony jest na 150.000 zł. Gmach będzie oddany do użytku seminaryum w przyszłą jesień.

„Odezwa Hiszpanki o sprawie amerykańsko-hiszpańskiej". Pod tym tytułem zamieściła pani Lutosławska, żona Wincentego Lutosławskiego z Drozdowa, rodem Hiszpanka a zarazem poetka i powieściopisarka hiszpańska, w *Gazecie polskiej* odezwę w której skarży się na to, że pisma polskie więcej okazują sympatyi Amerykanom niż Hiszpanom. — Dotknięta tem, chwyciła za pióro, aby bronić swojej ojczyzny i oto co pisze:

„Gdy przed paroma miesiącami wróciłam tutaj do mojej drugiej ojczyzny, zauważyłam niestety brak tego uczucia sympatyi dla sprawy hiszpańskiej jakie spotykałam, przejeżdżając przez inne kraje. Dlaczego? — pytam — dlaczego Polacy tak surowo sądzą naród, który mimo wielu wad, ma zadziwiającą cnotę: Potrafi umierać za honor dziś, kiedy reszta Europy czuje w sobie siłę do obrony jedynie swojego egoizmu i obojętnie patrzy na narody, idące na śmierć w walce o ideały? Dlaczego tu wielu śledzi z większą sympatyą ruch amerykańskiej eskadry, niż zmienne powodzenie floty hiszpańskiej?"

Nam się zdaje, iż szanowna autorka myli się, przypuszczając, iż Polacy czują większą miłość do geszefciarstwa Amerykanów, niż do rycerskości Hiszpanów. Owszem, co do nas, to stanowczo w ciągu całej tej wojny, sympatye nasze były wyłącznie po stronie Hiszpanów.

Emil Hartmann, kompozytor duński i profesor konserwatoryum muzycznego w Kopenhadze, zmarł onegdaj w stolicy Danii, w wieku 62 lat. Skomponował on muzykę do opery „Elfy" („Die Erlenmädchen"), głównie jednak zdobył sobie głośne imię za symfonie i kompozycye dla muzyki kameralnej, których pozostawił bardzo wiele. Ojciec jego był również sławnym kompozytorem duńskim.

Poprzednikiem Schenka, którego teorya płciowa się nie przyjęła, był w swoim czasie na małą skalę Napoleon I. W jednym z listów jego z 31 sierpnia 1806 r. do swej synowej księżnej Augusty, żony księcia Eugeniusza Beauharnais, znajdujemy ustęp, który dosłownie brzmi: „Staraj się pani, abyś nie miała córki. Dam pani na to receptę, choć mi pani nie uwierzy. Sposób polega na tem, aby pić każdego dnia kilka kropli rozwodnionego wina". Recepta to, jak zauważa *La Médecine Moderne*, o wiele prostsza, niż przepisy Schenka. Zdaje się jednak, że i sposób Napoleona, jak wszystkie inne był zawodny lub może księżna rady jego nieposłuchała, w jakiś czas bowiem później — wydała na świat córkę.

W Zakładzie ubezpieczenia robotników od wypadków dla Galicyi i Bukowiny we Lwowie zgłoszono w II kwartale 1898 r. ogółem 433 wypadków. Zakład załatwił w tym czasie 362 spraw wypadkowych, a tytułem rent wypłacił w II kwartale b. r.: Ascendentem 523 zł. 97 ct., przemijająco niezdolnym do zarobkowania 9156 zł. 95 ct, stale niezdolnym do zarobkowania 20324 zł. 74 ct., wdowom 3268 zł. 90 ct., sierotom 4857 zł. 44 ct. Tytułem odprawy wypłacił wdowom 144 zł., tytułem kosztów pogrzebu 374 zł. a tytułem kosztów dochodzenia wypadków 2372 zł. 17 ct. Wypłacono nadto wartość kapitałową rent 709 zł. Ogółem wypłacił Zakład w II kwartale 1898 r.: 41731 zł. 17 ct. Na pokrycie wynagrodzenia rent powyższych i ich wartości kapitałowych wpłynęło w czasie od 1-go stycznia do 30-go czerwca 1898 r. tytułem premii ogółem 157071 zł. 80½ ct.

Podarek cara dla Bułgaryi. Niezwykły podarek otrzymała Bułgarya od cara. Mianowicie wielki zbiór kostyumów teatralnych wybranych z teatrów rządowych w Moskwie i Petersburgu, wystarczający do wystawienia stu sztuk. Cała kolekcya składa się z 8.700 numerów wartości 60.000 rubli. Ozdobny katalog wszystkich przedmiotów stanowi poważną księgę. Rząd bułgarski zamierza urządzić wystawę tej interesującej kolekcyi.

Ostatnie chwile Bojczewa i Nowelicza. Do ostatniej chwili morderca Anny Simonównej Bojczew spodziewał się ułaskawienia. Nadzieja go opuściła w chwili, gdy spostrzegł przed sobą kata. Pomimo to zachował zupełną przytomność umysłu. Gdy go prokurator zapytał, czy ma jeszcze jakieś życzenie, albo też czy ma co do powiedzenia, rzekł: „Po mojej śmierci obwiniać będą wiele osób o współudział w zamordowaniu Anny Simon; posądzenia te będą niesłuszne". Na placu egzekucyi prosił, aby go jeszcze raz zaprowadzono do kaplicy więziennej, a następnie, aby mu ręce uwolniono z kajdan, gdyż chce się przeżegnać. Pierwszej prośbie uczyniono zadość, drugiej odmówiono. W chwili, gdy ksiądz odmówił modlitwy, ucałował Bojczew podany sobie krzyż i powiedział: „Tak jest, zaszedłem za daleko". Następnie pożegnał się z obecnymi, przemówił kilka słów do żołnierzy i zażądał po raz drugi, aby mu ręce oswobodzono, gdyż, jak mówił sam chce sobie stryczek na szyję założyć. Prośbie jego znowu odmówiono. Bez pomocy kata wstąpił wreszcie na podstawkę u szubienicy i odtrącił ją sam nogą od siebie. Za chwil kilka już nie żył.

Nowelicz przyjął z zimną krwią Komunię św. Na placu egzekucyi unikał ustawicznie wzroku Bojczewa, i ilekroć ten na na niego patrzał, odwracał się natychmiast do niego plecami. Przed szubienicą zawołał: „Nagroda moja odpowiada czynom", poczem wstąpił bez pomocy kata na stopnie i również sam odtrącił nogą podstawkę.

Satyra polityczna. Alfred Capus, fejletonista paryskiego *Figara* ogłosił przed kilku dniami następującą satyrę w formie dyalogu:

Prezes ministrów francuskich Brisson (wchodzi do sali parlamentu w chwili, gdy ma rozwinąć swój program): Do kata!

Sekretarz: Czem mogę służyć ekscelencyi?

Brisson: Muszę zaraz rozpocząć mowę programową, a zapomniałem bardzo ważnej rzeczy.

Sekretarz: Co takiego?

Brisson: Zostawiłem w domu nasz program. Fatalność! Czy pan nie zabrałeś go przypadkiem?

Sekretarz: Nie. Nie przyszło mi to na myśl.

Brisson: Czy pan sobie przynajmniej przypomina, co tam napisałem?

Sekretarz: Piąte przez dziesiąte.

Brisson: Sprobujemy razem przypomnieć sobie myśli zasadnicze. Przecież dosyć często mówiłem o tem w kampanii wyborczej.

Sekretarz: O ile pamiętam, to była tam mowa o oddzieleniu kościoła od państwa.

Brisson (zdumiony): Czy pan jesteś pewnym tego?

Sektetarz (onieśmielony): Nie zupełnie, ale tak mi się zdaje. Potem była mowa o rewizyi konstytucyi.

Brisson: Ej, żartuje pan.

Sekretarz: Może się mylę, ale to wiem na pewno, że jeden ustęp poświęcony był podatkowi osobisto-dochodowemu.

Brisson: Być może, być może, ale bezwzględnie pewny tego nie jestem. Fatalna rzecz zapomnieć własny program.

W tej chwili przechodzi były prezes ministrów Méline, słyszy ostatnie słowa i mówi:

— Kolega zostawił w domu swój program?

Brisson (zaambarasowany): Tak, tak. Nieprzyjemny wypadek.

Méline (poufale): Drobnostka. Mogę koledze służyć moim programem.

Brisson (uradowany): Nie śmiałbym apelować do pańskiej uprzejmości. Taka usługa...

Méline (z uśmiechem): Ależ to zupełnie naturalna rzecz, proszę pana.... między politycznymi przeciwnikami.... ależ to zupełnie naturalne.

Bywało inaczej. Wobec ohydnego zachowania się załogi okrętu „Bourgogne", a osobliwie brutalnego postępowania mężczyzn podczas katastrofy, nie od rzeczy będzie przypomnieć fakt z niedalekiej przeszłości świadczący, że już bywało inaczej. W d. 25 lutego 1852 r. o kilka mil od Przylądka Dobrej Nadziei, angielska fregata „Birkenhead" natknęła się na podwodne skały, przedziurawiła się i poczęła tonąć. Ratunek był niemożliwym. Na statku znajdował się pułk piechoty angielskiej, dążący do Przylądka. Ratunkowe łodzie fregaty były w stanie pomieścić bardzo niewielką liczbę osób. Położenie było straszne. Dowódzca zebrał cały pułk na pokładzie w bojowym szyku. Do łodzi kazał spuścić najprzód kobiety i dzieci, później nielicznych pasażerów. Dla żołnierzy zabrakło miejsca. Wśród porządku i ciszy, przerywanej tylko odgłosem krótkich rozkazów, łodzie odpłynęły. Zdruzgotana fregata poczęła się przechylać i zatapiać. Pułkownik kazał uderzyć w bębny „do ataku!" Sam stanął w pierwszym rzędzie. Bagnety pochyliły się, z piersi wydarł się krzyk: „Niech żyje Anglia!" — i fala morska nakryła wszystko.

Adwokaci i notaryusze. Wedle urzędowej statystyki było w Austryi z początkiem roku 1898 adwokatów 4 009 i notaryuszy 1.111, przeciętnie więc wypada jeden adwokat na 5960 mieszkańców i jeden notaryusz na 21.508 mieszkańców, biorąc za podstawę spis ludności z r. 1890, wedle którego Austryę zamieszkało 23,895.413 osób. Nowe notaryaty w ubiegłym roku utworzono w Galicyi: w Ottynii, Podwołoczyskach i systemizowano posadę drugiego notaryusza w Stryju. Okręg Izby notaryalnej lwowskiej liczył 86, tarnowskiej 33, przemyskiej 46, czerniowieckiej 19, a krakowskiej 43 notaryuszy. Adwokatów liczyła lwowska Izba adwokacka 316, krakowska 240, przemyska 60, samborska 40, a czerniowiecka 89.

Dla roztargnionych. Wiadomo, jak przykrem jest wysiąść gdzieś na stacyi z wagonu i nie módz znaleźć swego miejsca, zwłaszcza w nocy, bo jeżeli „w nocy wszystkie koty szare", to wagony wszystkie jednakowe. Otóż dla roztargnionych, którzy zapominają przy opuszczeniu wagonu zanotować sobie numeru lub cechy odznaczającej wagon od innych, zarządy kolei francuskich zaprowadziły nowość, mianowicie znaki, malowane na wagonach, przedstawiające gwiazdy, jaskółki, zające, sztandary i t. p. Pociąg w ten sposób ozdobiony, wygląda co prawda, oryginalnie, ale publiczność jest zadowolona z innowacyi.

Środek przeciwko zetknięciu się okrętów. Z okazyi świeżej katastrofy parowca pasażerskiego „Bourgogne" pisze pewien niemiecki inżynier okrętowy, co następuje: Nie było dotąd wypadku, aby okręt najechany w środek, utrzymał się nad wodą za pomocą nieprzepuszczających wodę przedziałów. Możliwość taka istnieje jedynie wówczas, jeśli okręt ulegnie uszkodzeniu zupełnie z przodu lub zupełnie z tyłu, ponieważ przód przed pierwszym przedziałem i tył za ostatnim przedziałem, jest względnie, niewielki. Środkowe zaś przedziały są tak wielkie, że przy napełnieniu się jednego z nich wodą, ciężar jest większy, niż zdolność pływania reszty korpusu okrętu. Nieobładowany okręt mógłby się ostatecznie utrzymać nad wodą nawet przy napełnieniu się wodą jednego z przedziałów środkowych, nigdy jednak obładowany. Zwykle powstają przy najechaniu okrętu otwory dziesięć i więcej stóp szerokie, przez które woda wpada z taką gwałtownością, że o jej wypompowaniu nie może być mowy. Istnieje jednak środek do zapobieżenia zabójczym skutkom zetknięcia się okrętów. Należałoby tylko rozpiąć naokoło okrętu żelazny pas ochronny. Coś podobnego zastosowały już okręty wojenne, jako ochronę przeciwko torpedowcom. Są to siatki druciane; tutaj potrzeba tylko liny drucianej grubości rzemienia, która, podtrzymywana żelaznemi prętami w środku okrętu, odstawałaby od niej więcej 9 stóp od pokładu, a przy obu końcach zbliżałaby się do ściany okrętu. Pręty żelazne powinny być w ten sposób urządzone, aby w razie potrzeby (w porcie) cały ten przyrząd dał się podnieść w górę i przylegał ściśle do okrętu. Jeśli teraz podczas mgły nadjedzie obcy okręt, to spotka się najpierw z tym daleko odstającym pasem ochronnym, który albo nada okrętowi inny kierunek, albo wskutek swej elastyczności, powstrzyma bieg okrętu, tak, iż zetknięcie się nie będzie działało niszcząco. Burze i fale nie zagrażają nowoczesnemu okrętowi niebezpieczeństwem; im dalej od lądu, tem bezpieczniejszy jest on w swoim żywiole. Najgroźniejsze niebezpieczeństwo stanowią zetknięcia się przy mgle, która także gwizdaniu świstawek parowych i dzwonkom „syren" nadaje inny kierunek, tak, iż często znajdujemy się w zupełnym błędzie co do miejsca, w którem się znajduje nadjeżdżający okręt.

Zmarli. W Sanoku Magdalena Truskolaska. — We Lwowie Emil Pawlikiewicz, likwidator Tow. wzaj. kred., lat 40; Antonina z Pappów Noskiewiczowa, wdowa po oficyaliście prywatnym, lat 61.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano +11, w poł +12 R. Bar. 766. Podnosi się. Pochmurno.

Nasze dzieci.

W dziesiątym roku chłopiec uważa ojca swego za skarbnicę mądrości; w piętnastym dochodzi do przekonania, że już umie tyle, co ojciec; w dwudziestym dałby się zarżnąć, iż umie dwa razy tyle, co ojciec; w trzydziestym powiada sobie czasami: „czyby nie spytać ojca o radę?", wkrótce potem nabiera przeświadczenia, że jednak ojciec może dobrze poradzić, a po śmierci ojca syn mówi z głęboką wiarą: „ojciec mój był najrozumniejszym człowiekiem w świecie!.."

Repertuar teatru letniego. Dziś we czwartek „Kawaler z fiołkami," komedya w 4 aktach Gustawa Mosera.

Literatura i sztuka.

* **Żart**, pismo humorystyczne, wychodzące pierwszy rok we Lwowie, jedna sobie coraz więcej uznania. Każdy numer przynosi dużo świeżego, niewymuszonego humoru, a zdobią go bardzo dobre rysunki p. Skwirczyńskiego. Na każdej niemal karcie znajdujemy karykatury osób, znanych powszechnie we Lwowie. W kilku rysach artysta umie postać każdą oddać doskonale. Jakkolwiek zamieszczanie tego rodzaju karykatur jest złem, to jednak na korzyść *Żartu* podnieść należy, iż czyni on to tak poczciwie i przyzwoicie, iż osoby, które umieszczono w *Żarcie* nie tylko nie mają powodu czuć się tem dotkniętemi, lecz owszem serdecznie się tem bawią. A w tem właśnie leży podstawa żartu, by szczerze uśmiał się każdy, z którego zażartowano.

* **Teatr i jego ofiary**; szkice; napisał Adolf Walewski. Złoczów, nakładem Wilhelma Zuckerkandla. Jak autor sam uprzedza w przedmowie smutna historya kilkunastu ofiar żądzy karyery teatralnej, nie ma na celu zniechęcania młodych adeptów do sztuki. Jeżeli jaki cel praktyczny mają jego szkice, to chyba ten, żeby zmusić młodych aspirantów na gwiazdy teatralne do obliczenia się ze swym talentem. Po za tem są to obrazki z życia aktorów, na które patrzył autor własnemi oczyma. Że one wszystkie kończą się smutnie, to wina indywiduów a nie instytucyi teatru. „Wydziedziczona" Mania, to ofiara braku krytycyzmu, który nie pozwolił jej poznać, że siły jej nie dorosły do zamiaru. „Komedyantka" Flora, to ofiara własnej zimnej kokieteryi, za którą śmierć ponosi z rąk zazdrośnego kochanka. „Domorosły autor" to jeden ze słusznie nieuznanych, a Irenka z „Bel canto" to drugie wydanie wydziedziczonej Mani, tylko ze sfery dramatu przeniesionej do opery. „Marzyciel" znowu, to człowiek, który nie godząc się z poziomem, na którym dobrze mu się powodzi, rwie się na niedostępne mu szczyty aktorskie i ginie. Wreszcie „Cudowne dziecko" Cesia, to biedniątko, które wyszedłszy wiekiem i fizycznymi warunkami z zakresu ról dziecięcych, talentem nie umie dorównać rolom „dorosłym" i marnieje. Wszystko to podpatrzone doskonale, pochwycone śmiało i oddane z ciętą ekspresyą, sprawia, że zbiorek ten czyta się jednym tchem i z zadowoleniem pomimo melancholii rozlanej po wszystkich postaciach. W czem sekret tego zadowolenia, oto w tem, że te drobniutkie historye, to płody prawdziwego artyzmu.

Głosy publiczności.

Zjazd koleżeński. Zawiadamiam niniejszem wszystkich kolegów, którzy w r. 1878 ukończyli gimnazyum w Nowym Sączu, iż zjazd nasz odbędzie się także dnia 9 sierpnia b. r. Rozpoczynamy rano nabożeństwem za zmarłych kolegów i profesorów.

Ryglice 20 lipca 1898.

Ks. Szczepan Gibel, proboszcz.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 19 lipca.

(Z.) Po raz pierwszy od kilku tygodni spostrzedz można było dziś, że klientela prywatna bierze udział w obrotach giełdowych. Zlecenia zakupna, pochodzące z tego źródła, wywarły na targu bardzo miłe wrażenie i zachęciły także spekulantów do transakcyi. Dotyczyły one przeważnie walorów kolejowych, które utrzymały się na wyższym poziomie aż do zamknięcia obrotów, pomimo, że w ostatniej godzinie nadeszły z targów zagranicznych niekorzystne doniesienia. Z akcyi kolejowych najwięcej zyskały akcye czeskich kolei, gdyż żniwo buraków zapowiada się dobrze i zanosi się na ożywiony eksport cukru. Na targach zagranicznych dotkliwą reakcyę wywołała depesza z Waszyngtonu, zaprzeczająca pogłosce, jakoby już wdrożono rokowania pokojowe między Hiszpanią a Ameryką.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 359·—, węgierskie 395 —, Anglobanki 157·—, Uniony 295·—, Bankverein 267·—, Länderbanki 226 —, Ludwiki 212 20, Czerniowieckie 291 50, Elbethale 263 —, Renta papierowa 101·70 srebrna 101·65 austryacka złota 121·70, austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 121·—, węgierska renta wal. kor. 99.—, dukat 5·63. 20 frankówka 9·52½, marki 11·75—, ruble 1·26¾.

Ceny zboża. Wiedeń 19 lipca. Pszenica na jesień 8·39—8·41; żyto na jesień 6·77; owies na jesień 5·86; kukurudza na lipiec-sierpień 5·50—5·62; rzepak na sierpień-wrzesień 12·60—12·70.

Wiedeń 20 lipca. Pszenica na jesień 8·38—8·42; żyto na jesień 6·76—6·81; owies na jesień 5·88; kukurudza na wrzesień-październik 5·48—5·51; rzepak 12·65—12·75. Spirytus 19·80—20.

§ **Kolej lokalną** Mauthausen-Grein ze stacyami względnie przystankami: Mauthausen, Schwertberg, Airthofen, Perg, Auhof, Arbing, Baumgartenberg, Saxen, Dornach i Grein otwarto w dniu 3 lipca b. r. dla użytku publicznego. — Stacye Schwertberg, Perg, Arbing, Baumgartenberg Saxen i Grein otwarto dla ruchu ogólnego zaś przystanki Airthof, Auhof i Dornach dla ruchu osobowego i pakunkowego.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Madryt 21 lipca. Z Hawanny donoszą, że Amerykanie bombardowali wczoraj przez cztery godziny miasto Manzanillo i rzucili na nie 3600 pocisków. Trzy okręty poszły na dno morza.

Mówią, że marszałek Blanco zawiadomił ministra wojny, że nie upoważniał jenerała Torala do poddania Sant Jago, że Toral uczynił to na własną rękę, za co pociągnięty zostanie do odpowiedzialności.

Paryż 21 lipca. *Temps* donosi, że Hiszpania rozpoczęła już półurzędowe rokowania pokojowe, których celem jest wysondować, jakie warunki stawiać będą Amerykanie.

Madryt 21 lipca. List jenerała Torala, wystosowany do jenerała Shaftera, a donoszący mu, iż marszałek Blanco pozwolił mu na poddanie Sant Jago, uważają tu wszyscy za apokryf, gdyż zawiera rzeczy, których jenerał Toral absolutnie napisać nie mógł. - Sprawa w istocie ma się tak, że minister wojny w odpowiedzi na raport jenerała Blanco, iż Sant Jago znajduje się w nadzwyczaj krytycznem położeniu, odpowiedział, że należy pozostawić jen. Toralowi inicyatywę, co ma uczynić i nie udzielać mu żadnych innych wskazówek, jak tylko tę, aby zawsze postępował stosownie do przepisów wojskowych.

Waszyngton 21 lipca. Na wczorajszem posiedzeniu gabinetu odczytano telegram, w którym admirał Devey donosi, że położenie Manili się nie zmieniło. Wśród członków gabinetu przeważało przekonanie, że wiadomość, jakoby pomiędzy Deveyem a kontradmirałem niemieckim Diederichsem naprężone panowały stosunki, pozbawioną jest wszelkiego uzasadnienia. Potwierdza to ten fakt, że niemiecki okręt wojenny przywiózł depeszę Deveya do Hongkongu. Prezydent Mac-Kinley i sekretarz stanu Day zapewnili innych członków gabinetu, że pod Manilą nic się nie stało, coby pogorszyło stosunki pomiędzy Niemcami a wojskami amerykańskiemi.

Madryt 21 lipca. Komendant Manili doniósł telegraficznie rządowi, że obrona tego miasta jest w należytym porządku. Wojsko hiszpańskie nie traci fantazyi, fortyfikacye wzmocnione. Istnieje zamiar obrony do upadłego.

Bruksela 21 lipca. Don Carlos oświadczył, że wybuch powstania w Hiszpanii uważa za nieunikniony. Skoroby tylko piędź ziemi Hiszpania miała odstąpić, to on chwyci za broń. Organizacya Karlistów na wypadek powstania jest skończoną.

Nowy York 21 lipca. Zapewniają, że Hiszpanom udało się sprowadzić na ląd cały ładunek okrętu „Antonio Lopez", który naładowany wielkimi zapasami żywności, usiłował przerwać linię blokady wyspy Portorico i osiadł na mieliźnie w pobliżu miasta San Juan.

Do dziennika *Journal* donoszą z Waszyngtonu, że jenerał Miles nalega na Mac Kinleya, aby mu pozwolił po zdobyciu wyspy Portorico poprowadzić armię amerykańską do Hiszpanii.

Sant Jago 21 lipca. Jenerałowi Linaresowi, rannemu podczas szturmu na fort El Ganey, amputowano rękę. Stan jego jest groźny.

Nowy York 21 lipca. Do *Evening Journalu* donoszą z Kingstonu, że Kubańczycy przybyli do Siboney, przynieśli tam wiadomość o śmierci wodza powstańców Garcii.

Wiedeń 21 lipca. Wczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie rady przemysłowej. Obrady zagaił minister handlu dr. Baernreither. Jako gość przybył na posiedzenie także minister rolnictwa br. Kast. Po powitalnych przemówieniach podzieliła się rada przemysłowa na trzy stałe oddziały i członkowie ich rozebrali pomiędzy siebie referaty o przekazanych radzie sprawach.

Peszt 21 lipca. Uczestnicy pielgrzymki węgierskiej, która wybrała się do Lourdes, donoszą, że w Lyonie tłumy publiczności napadły na nich i znieważyły. Trzech pielgrzymów pobito, reszta uciekła w powozach.

Paryż 21 lipca. Zola wyjechał do Lucerny w Szwajcaryi, stamtąd zaś udać się ma do Holandyi, a następnie do Norwegii w odwiedziny do Bjoernsona.

Paryż 21 lipca. W sądzie policyi poprawczej miała się odbyć wczoraj rozprawa przeciw redaktorowi *Petit Journalu* Judetowi, którego Zola oskarżył o obrazę pamięci jego zmarłego ojca. Sąd odroczył rozprawę na dwa tygodnie, aby poprzednio rozstrzygnąć pytanie, czy jest kompetentnym wydać wyrok w sprawie o obrazę nieżyjącego już funkcyonaryusza państwowego, jakim był ojciec Zoli.

Genewa 21 lipca. Dzień wczorajszy przeszedł spokojnie. Wojsko obsadziło wszystkie place, na których gromadzą się robotnicy, i krążyło po ulicach. Policya aresztowała około 50 podżegaczy. Ludność pomagała w tem policyi. Strejkujący robotnicy zażądali jednego dnia do namysłu, jaką odpowiedź mają dać na propozycyę pracodawców. Jest nadzieja, że dziś powrócą do pracy na kilku budowlach.

Paryż 21 lipca. *Figaro* notuje obiegającą w mieście pogłoskę, iż w mieszkaniu Esterhazego znaleziono bardzo ważne dokumenta i że Esterhazy oświadczył gotowość poczynienia bardzo ważnych zeznań.

Londyn 21 lipca. Do „Biura Reutera" donoszą z Pekinu, że rosyjski sekretarz legacyjny Pawłow, który zagroził rządowi chińskiemu wyjazdem swym z Pekinu, usprawiedliwił się z tego swego kroku i dodał, że uczynił to bez upoważnienia swego rządu. Mimo to obstaje Pawłów przy postawionem poprzednio żądaniu, ażeby instruktorzy angielscy i niemieccy wykluczeni zostali z floty chińskiej.

Konstantynopol 21 lipca. Admirał francuski Poitier wystosował do ministra spraw zagranicznych Dżewada baszy pismo, w którem zwraca jego uwagę na to, że nie dozwoli, ażeby tureckie wojska wylądowały na Krecie. Onegdaj przybyło tam 50 żołnierzy tureckich, lecz nie pozwolono im wylądować, wobec czego oni musieli wrócić. Poitier zawiadomił wszystkie tutejsze ajencye okrętowe, że zabroniony jest przewóz wojsk na Kretę.

Kreteńskie zgromadzenie narodowe przyjęło jednogłośnie w zasadzie projekt prowizorycznej administracyi tej wyspy. Dziś przeprowadzi kreteńskie zgromadzenie dalszą dyskusyę nad tym projektem.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 21 lipca. Mieczysł. hr. Komorowski z Chrobrowa. Jan hr. Moszyński z Hadynkowic. Bron. Rozwadowski z Tarnorudy. Maryan dr. Lisowiecki z Chłopic. Ks. Bron. Stasicki z Jaćmierza. Zofia Janicka z Berezowicy. Zygm. Lastowiecki z Lipnik. Helena Łukasiewicz z Żerawy. Ignacy Heller z Zawoja.

HOTEL IMPERIAL.

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 21 lipca. A. hr. Stecki z Drozna. W. hr. Pruszyński z Wołynia. L. hr. Dębicki z Jaworowa. S. hr. Plater-Zyberk z Moszkowa. Mister A. Waugh z Londynu. S. Zorn z Wiednia. Dr. Pietraszkiewicz z Krakowa. Dr. D. Treo z Adlersbergu. J. Zubek z Zborowa.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 21 lipca. Książę W. Gedroyć z Mostów małych. Hr. A. Miączyński z Wołynia. A. Homera z Görtz. J. Jabłoński z Drohobycza. F. Stanek z Wiszenki. J. Chyżyńska z Królestwa. A. Olędzki z Wołynia. B. Strawiński z Niżborga.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki.

W nowym zarządzie, zupełnie odnowiony.

(F. C. Proksch).

Przyjechali dnia 21 lipca. Br. Kriegshaber z Czerniowiec. Hr. Cigala z Ispas (Bukowina). Hr. Potocki z Buczacza. Kazimierzowie Winnicy z Turad. Dr. Meisels z Sasowa. Dr. Wład. Gawański z Pilzna. M. Landau z Hamburga. C. Zapek z Lausanne. C. Koch z Berlina. Dr. J. Lityński z córką z Kolbuszowy. J. Uleniecki z Mościsk. W. Rolicki i J. Bizub z Krakowa. A. Buckwitz, J. Hirsch i J. Linhardt z Wiednia.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 21 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 2?0 zł. m. k. 210.00 do 21?.—. Kolej Lwowsko-Czern-Jasska po 200 zł. w. a. 290.50 do 293.50 Banku hypotecznego po 200 zł w. a. 375 — do 385 —. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210 —. Tow. budowy wagonów w Sanoku 255·— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat a 10 proc. prem 110.20 do 110.90 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.30 do 101.00, 4 proc. los. w 60 lat 96 50 do 97 20 Banku kraj 4 i pół proc. los w 51 lat 100.80 do 101 50. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 98.00 do 98 70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc (I em'syi) 97 50 do 98 20, 4 proc los. w 41 i pół latach 97.70 do 98 40, 4 proc los. w 56 lat 96.30 do 97.00.

Obligi za 100 zł., Gal. fund propinacyjnego 4 prc. 98.20—98·90, Bukowińskiego fund. propin 5 proc 102 50 do —.—, Kom, Banku kraj. 5 proc (II emisyi) 102 40 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowa po 200 koron 97 50 do —.—. Pożyczki kraj. 6 proc 103 00 do —.— 4 proc. z 1893 r. 98 00 do 98 70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 96 ?0 do 97 ?0.

Monety. Dukat cesarski 5.6? do 5.70. Napoleondor 9 49 do 9.59 Półimperyał 9 47 do 9 57. Rubel rosyjski papierowy 126 50 do 127 50. 100 marek niemieckich 58.50 do 59.00.

81)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Wirujące pary przyprawiały jej znużoną głowę o zawrót, a prześladowczy wzrok barona niepokoił ją. Myślała gdzieby się schronić przed nim. Spostrzegłszy uchylone jakieś drzwi na końcu korytarza, weszła przez nie do słabo oświetlonej kuchni. Głownie tliły jeszcze jaskrawo na kominie, a łojowa kopcąca świeca dopalała się na stole. Tu przynajmniej panowała cisza i samotność; nie było ani kręcących się par, ani skomlących psów, tylko wielki biały kot, zwinięty w puszysty futrzany kłębek, drzemał spokojnie pod piecem, a z daleka dolatywały przyciszone dźwięki cytry. Po chwili mruczenie kota, tony muzyczne i szelest opadających głowni zlały się w jedno mętne, senne, przyciszone brzmienie. Elwira oparła się o stół, a głowa jej opadła na skrzyżowane dłonie.

Drzemała od paru minut zaledwie, kiedy naraz zerwała się zbudzona jakimś szelestem w kuchni. Baron Bernsdorf stał po drugiej stronie stołu, z rękami w kieszeniach, wpatrzony w nią ironicznie.

— Wyborną miałaś pani myśl, chroniąc się tutaj — rzekł z impertynenckim uśmiechem. — Zaczynałem już wątpić, czy będę miał sposobność przypomnieć się jej znajomości. Gdybym był zarozumiałym, mógłbym sobie pochlebić, że nietylko przypadkowi zawdzięczam to rozkoszne sam na sam. Czy wiesz pani, że potrzebowałem pół godziny czasu, aby ją poznać? Ta chustka zwiodła mnie... przytem nieprawdopodobieństwo tego położenia... Czyż mogłem przypuścić, że tygodniowy pobyt w myśliwskim zameczku Tonny Bellertha zakończy się piknikiem w lesie, i że z tego pikniku wyniknie spotkanie z moją piękną znajomą z Helenenthalu?

Elwira potrzebowała minuty czasu, aby zebrać zmysły. Spostrzegła, jak niebacznie postąpiła, opuszczając salę. Trzeba było jak najspieszniej przekonać barona, że nie uczyniła tego przez wzgląd na jego osobę. Milcząc, dumnie podniosła się z krzesła.

— Nie spiesz się pani tak bardzo — mówił baron, nie wyjmując rąk z kieszeni i tamując Elwirze przejście do drzwi. — Przechodzę katusze ciekawości.... Na cóż to przebranie i któż jest ten szczęśliwy śmiertelnik, którego zaszczycasz pani tak wielkiem zaufaniem?

Elwira, stojąc wyprostowana przy stole, zmierzyła barona płomieniejącemi oczyma.

— Strzeż się pan — rzekła przez zaciśnięte zęby. — To jest mój kuzyn, sir Andrzej Nevyll.

— Kuzyn... no proszę! A jednak trzy lata temu, o ile pamiętam, okazywałaś pani wielką nieufność swoim krewnym. Wszak i ja jestem niby kuzynem pani...

— Nie, nie jesteś pan moim kuzynem — energicznie zaprotestowała panna Eldringen, której ta nazwa, zastosowana do barona, wydała się profanacyą.— Puść mnie proszę. Trzy lata temu litowałam się nad tobą, jeżeli więc nie chcesz, abym teraz tobą pogardziła, to ustąp z drogi i puść mnie.

Baron zbyt był doświadczonym, żeby nie spostrzedz, iż mówiła szczerze to, co myśli. Sam na sam z Elwirą zabawiłoby go, ale nie chciał dopuścić do skandalu. Wzruszając ramionami ustąpił na bok i Elwira przeszła obok niego z hardo podniesioną głową. Nie doszła jeszcze do drzwi, gdy stanęła zdjęta nagłą trwogą. W progu spostrzegła wysoką, męzką postać z gwałtownem wzburzeniem, widocznem na bladej twarzy. Był to jej kuzyn, sir Andrzej. Ujrzała go jakby w mglistem widzeniu; stał chwilkę i znikł — znikł jej z oczu, zastawszy ją na rozmowie z obcym mężczyzną. Dla czego on był tak śmiertelnie blady? Czyż podobna, aby był przypuścił to, co tamten, że wymknęła się z pokoju, aby się spotkać z baronem? Ta myśl przeszła snadź także przez głowę Bernsdorfowi, bo zaśmiał się po za jej plecami cicho i złośliwie. Obróciła się nagle ku niemu drżąca z oburzenia.

— O! po coś pan tu przyszedł, po co? — zawołała namiętnie. — Nie wiesz, coś przez to zrobił.

— Nic tak bardzo złego, mam nadzieję — odparł ironicznie. — Byłbym zrozpaczony, gdybym wywołał scenę... ale parę słów, zamienionych z pani... kuzynem, wyjaśni całe nieporozumienie. Czemuż pani nie idziesz, aby mu wytłómaczyć...

— Idę... — odparła dumnie Elwira, wychodząc na korytarz, gnana niepowściągnionym popędem odszukania Andrzeja i powiedzenia mu — sama niewiedziała czego; zniesienia jakiejś zapory, która niewiadomo skąd powstała pomiędzy nimi.... czuła to.... niewyrezonowanym instynktem kobiecym, który nie zawodzi nigdy.

Sir Andrzej stał na przeciwległej stronie korytarza, wyglądając przez okno w noc ciemną. Ona szybko, bez tchu pobiegła do niego, czując, że musi się usprawiedliwić.

— Kuzynie — szepnęła — pozwól mi wytłómaczyć ci...

On obrócił się ku niej.

— To zbyteczne — przerwał, panując z trudnością nad swoim głosem. — Słyszałem wszystko.

W mdłem świetle, zawieszonej na ścianie latarki mogła teraz lepiej widzieć twarz jego. Była ona wzburzoną jeszcze, ale jakby nagłym rozbłyskiem radości wyraz osłupiałego przerażenia i grozy znikł z niej, nie zostawiając śladu.

— Słyszałeś... co? — spytała.

— Jak potraktowałaś tego zuchwalca. — Tu sir Andrzej rozśmiał się. — Nieledwie żal mi było tego biedaka. Czy on śmiał ci ubliżyć?

— Nie — skłamała odważnie Elwira. — Naprzykrzał mi się tylko.

Ogarnęła ją śmiertelna trwoga na myśl przypuszczalnego spotkania tych dwoja ludzi, a ta trwoga wyjaśniła jej wiele rzeczy, pokrytych dotąd tajemnicą.

— Dziękuję ci — łagodnie przemówił sir Andrzej, ujmując jej dłoń. — Zdjęłaś ciężar z mojej piersi. Przebacz, że śmiałem zwątpić o tobie na chwilę...

Oczy ich spotkały się na jedną błyskawiczną chwilę; nagle on puścił jej rękę i szybko odwrócił się od niej. Ruch ten uszedł uwagi Elwiry, która wytłómaczyła go sobie tem, że w tejże chwili drzwi się otworzyły i całe towarzystwo, ubrane już do drogi, wyległo na korytarz. Tańce udały się, a teraz powozy czekały przed bramą.

Już po północy — mówiła żona leśniczego, prowadząc Elwirę na spoczynek. Mogła jednak była oszczędzić sobie trudu słania łóżka, bo białe brzaski dzienne już oddawna świtały w okienku, kiedy panna Eldringen, wyczerpana z sił, zasnęła nareszcie.

ROZDZIAŁ XV.

— Święta Barbaro! — westchnęła oberżystka z pod „Złotego Słońca", stojąc w drzwiach i przyglądając się zdaleka młodej parze, idącej wiejską uliczką. — Skończyły się już dobre czasy! Albo już się oświadczył, albo tylko co się oświadczy, a po jej twarzy nie trudno się domyśleć, co mu odpowie. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak wyglądającej. To jakby inna dziewczyna. Trudno ją poznać...

I nic dziwnego. Elwira sama nie poznawała siebie. Blask oczu, żywe rumieńce twarzy, które zobaczyła dzisiaj rano w lusterku, zdawały się należeć do jakiejś innej Elwiry, młodszej, swobodniejszej, szczęśliwszej, zrodzonej z jakiejś wielkiej radości. Wewnętrzne rozradowanie ducha tak silnie przemogło fizyczne znużenie, że kiedy szła teraz przez wioskę obok swego kuzyna, krok jej był tak elastyczny, ruchy tak gibkie, jak gdyby nie zaznała nigdy wyczerpania.

Od chwili, kiedy wymowne ich spojrzenia skrzyżowały się w korytarzu leśniczówki, zdradzając całą głębię wzajemnych, ukrywanych dotąd uczuć, nie znalazła się ona sam na sam z swoim kuzynem. Pragnęła, a jednak mimowoli obawiała się tej chwili. Podczas powrotnej jazdy do Glockenau uważała ona obecność woźnicy na koźle za zawadę, a zarazem za pewien rodzaj opieki, kiedy zaś powróciła do Marienhofu, a w progu spotkało ją naglące wezwanie do jednej z protegowanych swoich, żony młynarza, a sir Andrzej ofiarował się jej towarzyszyć, doznała dziwnego wzruszenia. Coś jej szeptało w duszy, że ten spacer nie będzie takim, jak inne, i że zanim napowrót przekroczy progi domowe, wielka nowa zmiana dokona się w jej życiu.

Wszystko stało się nagle zrozumiałem dla niej. Światło latarki w zamroczonym korytarzu leśniczówki nie paliło się jasno ale dozwoliło jej jednakże wyczytać prawdę w oczach Andrzeja i rozświetliło tajemnicę jej własnego serca. To jedno przelotne jak błyskawica spojrzenie rozwiązało zagadkę ostatnich kilku rozkosznych, błogosławionych, po wieczne czasy pamiętnych tygodni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki Spółka hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.